7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



Najzdolniejszy aktor w rolach cowboyów Rex Bell z wytwórni Foxa. (Fot. Fox - film)

Byle razem, byle społem!

(Na marginesie Dnia Spółdzielczości)

Jeśli jest prawdą, że indywidualne poczynania jednostek mogą dać w wyniku piękny plon, to tem więcej spodziewać się należy, jeśli jednostka zaprzęgnie do wspólnego tworzenia dzieła masy, natchnie je wiarą we własne siły i poprowadzi za sobą. Cała rzecz polega jeno na tem, by masom ukazać pewien punkt konkretny, do którego się zbliżając ujrzą znów inny — i tak, bez końca, jak bez kresu jest postęp ludzki, byleby wytrwać w utrzymywaniu zdobytych placówek.

Piękne przykłady podobnej progresji dają nam karty z dziejów naszej spółdzielczości.

Oto na początku XVIII-go stulecia, pewien zacny kapłan z Pabjanic, ks. Jordan, nie mogąc patrzeć obojętnem okiem na nędzę, w którą popadała ludność miejscowa wskutek epidemji bydła, zorganizował kasę samopomocy i wciągnął do pracy wszystkich obywateli.

Oto w kilkadziesiąt lat później świattli obywatele — Andrzej Zamoyski i Anna Jabłonowska — zakładają w swych włościach kasy pożyczkowe, zachęcając ludność miejscową do pracy społecznej.

Ruch ten powoli rozszerza się na inne latifundia, świadcząc o wysokim duchu obywatelskim, który mimo ogólnego rozprężenia i klęsk, budował tak piękne pomniki, jak Konstytucja Majowa, Komisja Edukacyjna i t. p., wyprzedzając całą współczesną Europę w światłym liberalizmie.

Spółdzielczość... Idealny przejaw zbiorowego wysiłku, wspaniała szkoła społeczna, pożyteczna — gdyż zawsze praktyczna w wynikach, choćby przewódcami tych lub innych kół byli ludzie o różnych przekonaniach politycznych.

Dwa przykłady acz powszechnie zresztą znane, oświetlą nam to zagadnienie.

Lisków... Opuszczona wioska, chałupy na pół rozwalone, karczma, urągająca zacnym usiłowaniom krzewienia kultury, czy to przez wiarę, czy przez naukę, ludność zaniedbana, biedna, emigrująca w sezonie na roboty do Niemiec... Oto obraz Liskowa przed 30-tu laty, wioski, co przed 4-ma laty święciła jubileusz swego odrodzenia, budząc podziw najwytrawniejszych działaczy społecznych, z pionjerem spółdzielczości, ówczesnym Prezydentem Rzeczypospolitej, Stanisławem Wojciechowskim na czele, którzy przybyli na tę piękną uroczystość.

Twórcą Liskowa — wzorowej wsi polskiej, ba, więcej nawet, bo może i europejskiej, jest ks. prałat Bliziński, który od pierwszej chwili, kiedy objął parafję w Liskowie, niezmordowanie pracował dla ludności, zagrzewając ją do budowania gmachu własnego szczęścia.

Pierwsze lata były trudne. Lecz oto stanęła pierwsza, druga placówka. Ciemny lud (87% analfabetów) nauczył się cenić zdobycze własnej pracy i wszystko wartko ruszyło naprzód, prześcigając się w dobrej woli, byleby dobre osiągnąć korzyści.

Lisków jest dzisiaj prawdziwem muzeum pracy społecznej, a młodzi liskowiacy, wychowańcy szkół czy sierocińca, zbrojni w praktyczną wiedzę, a nadto niosący w sobie poczucie karności ducha abywatelskiego, rozproszeni są po całej Polsce.

Inicjatywa młodego kapłana, poparta wysiłkiem ludności — dokonała wiekopomnego dzieła.

Inny przykład przenosi nas do stolicy. Udajemy się na marymoncką szosę. Przejeżdżając przez linję kolei, oglądamy nędzę wielkomiejską, zagnieżdżoną w lichych barakach. Biedny ludek, co jeszcze nie zdołał otrzymać pomieszczenia, niezdarnie krząta się koło budowy prymitywnego szałasu Marny dobytek, wystawiony na słotę i kurz, dzieciska zamorusane radzą sobie jak mogą w zabawie, podnosząc tumany czarnego kurzu... Jedziemy dalej. Mijamy Żoliborz (także typ spółdzielczego poczynania). Zbaczamy z szosy i jedziemy w kierunku obszernej kolonji, zwanej „Zdobyczą Robotniczą".

Dzieło to, rozpoczęte przed paroma laty przez energicznego i pomysłowego inż. Janusza Dzierżawskiego, jest zupełnie odrębnym typem spółdzielczej organizacji. Nic podobnego jeszcze nie było. A rzecz jest nader prosta. Praca, „pozafajerantowo" (czyniąc wyłom w ustawach) niesiona przez zrzeszenie robotników, stanowi kapitał niezbędny dla otrzymania subwencji od Banku Gospodarstwa według zwykłych norm.

Robotnicy, wszelakiego autoramentu, pracują ochoczo, waloryzując pracę na przedmiot marzeń rentier'a" — własny dom, własny ogródek, szkołę i t. d. i t. d.

Niemasz tu miejsca na spory i waśnie, na złe podszepty lub wpływy „bibuły". Praca jednoczy wszystkich — ogólnej radości tworzenia!...

Dwa te przykłady chociażby dobitnie świadczą o doniosłości tworzenia dzieł kolektywnie, solidarystycznie, przynosząc hart ducha wątpiącym, budząc z letargu zobojętniałych.

Bo spółdzielnia — jak słusznie twierdził Włoch Cavalieri — „są gruntem neutralnym, na którym schodzić się mogą ludzie różnych wyznań i zapatrywań,... bo spółdzielczość jest celem samym w sobie i nie może służyć, jako środek, żadnej partji".

Pozwolę sobie przypomnieć w tem miejscu kilka uwag, które uczyniłem w poprzednim naszym numerze na marginesie Samorządu.

Czyż oba te zagadnienia nie stanowią pewnej całości, odgrywającej w społecznem i gospodarczem życiu narodów podstawową rolę? To też istotnie, instytucje te, stając na gruncie praktycznej pracy, do której są powołane, niejednokrotnie nawiązują nić porozumienia, a zwłaszcza w dziedzinie kooperacji rolnej, której samorządy nie szczędzą nawet materjalnej pomocy.

Praca spółdzielcza cementuje siły narodu ku pożytkowi Państwowości.

Łączy, nie dzieli. Łączy we wspólnej pracy, dla ogólnego dobra — nie operuje czczemi hasłami, lecz stwarza wartości realne, służąc żywym dowodem, co może zgodna współpraca. Idącą luzem jednostkę czyni cząstką zgranej i solidarnej całości. Jest jakby szkołą przygotowawczą państwowości, jedną z jej ważniejszych i zasadniczych komórek.

Rozszerzając horyzont jednostek, pozwala im zczasem objąć i zrozumieć całość ogółu zagadnień państwowych, uobywatelniając te jednostki, kształcąc je dla szerszych zadań i celów.

I znów przypomina mi się rozmowa z jednym z wojewodów kresowych, który, podkreślając niezwykły rozwój spółdzielczości równy tempu w zachodnich połaciach kraju, dorzucił mi z uśmiechem:

— Wszyscy tu zespoleni są w zgodnym wysiłku Mniejszości wszelkiego pochodzenia, które ulegały do niedawna podszeptom z za kordonu, odrzucają wszelkie propozycje — choćby połączone z zyskiem. Ważniejszą jest dla nich mleczarnia, lub kasa pożyczkowa, niźli szumne hasła rewolucji. Ważniejszą — bo bliższą".

(Er.)



W dzień Bożego Ciała P. Prezydent Rzeczypospolitej Prof. Ignacy Mościcki wziął udział w uroczystej procesji w Gnieźnie, gdzie tegoż dnia był obecny na uroczystości odsłonięcia pomnika Bolesława Chrobrego. (Fot. Aj. Światowid)



Ks. Prymas dr. Hlond na lotnisku w Wiedniu, witany przez przedstawicieli linij lotniczych „Lot" na Austrję (Austro - Polska Izba Handlowa w Wiedniu. Fot. „Austroflug")



W tygodniu ub. odbył się w Warszawie pogrzeb ulubieńca publiczności stołecznej, ś. p. Witolda Rolanda-Konopki, ofiary katastrofy samochodowej. (Fot. A. Sitkowski)



Justin Godard, były Minister Pracy, reprezentuje Francję na 12-ej Konferencji Pracy w Genewie (Wide World Photos)



Pianista niemiecki, Karol Delhees zdobył rekord długiej gry na fortepianie, grając 76 g. 15 m. bez przerwy. (Fot. Atlantic)



Dwie piętnastoletnie bliźniaczki, Misses Zitterfeld, przybyły do Francji, aby w najbliższym czasie pokusić się wspólnie o przepłynięcie kanału La Manche, czego już próbowały dwa lata temu. (Wide World Photos)



Amerykanin P. W. Litchfield zamierza uruchomić stałą komunikację na „zeppelinach" przez Ocean Spokojny (Fot. Atlantic)



Dayang Mudda z Sawarrak, biała władczyni Borneo, wytoczyła rządowi angielskiemu proces o nadmierne podatki (Fot. Atlantic)



Dnia 2 czerwca w Uniwersytecie Warszawskim w obecności P. Prezydenta Rzplitej odbyła się uroczystość dekorowania sztandarów czterech warszawskich wyższych zakładów naukowych odznakami honorowemi 36 pp. Legji Akademickiej

NUMER RUMUŃSKI „SIEDMIU DNI"

W związku z 10-leciem Zjednoczenia Królestwa Rumunji ukaże się wkrótce *specjalne wydanie „7 Dni" poświęcone w całości kulturze, sztuce i rozwojowi gospodarczemu zaprzyjaźnionej z Polską Rumunji.*

Bogate materjały do tego pięknego wydawnictwa zebrane zostały *pod protektoratem Królewskiego Rządu Wielkiej Rumunji* przez specjalnego delegata „7 Dni", p. Romana Sładowskiego.



Dnia 2 czerwca na lotnisku cywilnem w Warszawie odbyła się uroczystość rozdania dyplomów pilotom wyszkolonym w Aeroklubie Akademickim. Fotografja nasza przedstawia scenę „pasowania na pilota". (Fot. Aj. „Światowid")



Arcyksiążę Gloucester angielski odbył podróż do Japonji, uroczyście witany na dworcu w Tokjo przez cesarza oraz arcyksięcia Chichibu, następcę tronu japońskiego. (Atlantic-Photo-Co.)



Prezes Tow. Wyścigów Konnych hr. Aleksander Wielopolski dekoruje konia „Madryt", zwycięscę ostatniego Derby w Warszawie. Koń ten jest własnością dyrektora cyrku, p. Mroczkowskiego

Biały orzeł w Czerwonej Moskwie

Wysoce interesujący artykuł poniższy, pióra świetnego publicysty polskiego, p. Mieczysława Wajnryba, wyjmujemy z jego nadzwyczaj ciekawej broszury, która p. t. „W kalejdoskopie sowieckim" ukazała się ostatnio w wydaniu „Domu Książki Polskiej".

*

Wrażliwy cudzoziemiec czuje w Moskwie na każdym kroku, że otaczający go świat jest mu nienawistny. Polak wie, że nie jest on tu popularny. Nie można powiedzieć, aby ludność odnosiła się wrogo do niego. Wogóle nie można w Moskwie spostrzec jakiejś specjalnej ksenofobji. Stolica sowiecka tak często przyjmuje najrozmaitsze delegacje i wycieczki zagraniczne, tak często widzą tam i czytają o przyjeździe obcych, że stało się to dla mieszkańców Moskwy chlebem codziennym.

Obcość wypływa z całkowicie odmiennych stosunków, z warunków bytowania, z któremi przyjezdny nie może się pogodzić. Pęd ku współżyciu z otoczeniem swojskiem, bliskiem jest u obcego tak silny, że napotkawszy gdzieś, przypadkiem cudzoziemca, który również czuje się tam samotny, chętnie i z radością poświęca mu wiele czasu, choć w innych warunkach nie zwróciłby na niego najdrobniejszej uwagi. Ludzie zachodu, skazani na stały pobyt w Moskwie, wytwarzają międzyeuropejską rodzinę w sensie życia towarzyskiego, które w odniesieniu do obywateli rosyjskich stanowi odrębny, zamknięty świat.

Nie można powiedzieć, aby obcy nie utrzymywali zupełnie stosunków z rosjanami. Nawiązywanie tych stosunków idzie jednak bardzo ciężko, z uwagi na to, że cudzoziemiec obawia się, aby przez odwiedzanie i przyjmowanie obywateli sowieckich nie narazić ich na żadne przykrości. Powoli, stopniowo tylko może obcy łamać ten mur, którym oddzielony jest z racji psychologji i praktyki władz sowieckich od utrzymywania stosunków z obywatelami sowieckimi. Komunikowanie się z przedstawicielami władz sowieckich jest z natury rzeczy raczej formalne, zimne, z pełną rezerwą.

Kolonje obce stanowią więc niejako rodzinę między sobą. Korpus dyplomatyczny w żadnej może stolicy europejskiej nie żyje tak przyjaźnie między sobą, jak w Moskwie. Pobyt w stolicy sowietów jest dla obcego inteligentnego dyplomaty bardzo pouczający, niezmiernie ciekawy, ale z żadnej zapewne stolicy dyplomata tak chętnie nie jedzie na urlop, jak z Moskwy, na żadnej placówce, z wyjątkiem krajów, gdzie rewolucje trwają permanentnie, przebywający tam cudzoziemcy tak często nie jeżdżą na odpoczynek dla skołatanych nerwów, jak z Moskwy.

Dla personelu dyplomatycznego i konsularnego Polski w Moskwie i innych miastach sowieckich wyjazd do kraju jest poprostu koniecznością duchową i fizyczną. Odpoczynek w atmosferze spokojnej, rodzimej, bez niespodzianek które czekają ich tam codziennie, a które nie przestają przez to być udręką dla nerwów i samopoczucia — taki odpoczynek jest nieodzowny, jeśli się chce, aby ten urzędnik mógł pracować normalnie, nieomal na zesłaniu w Rosji.

W tych warunkach życie reprezentantów politycznych i konsularnych Polski musiało się oprzeć na zasadach niemal wspólnej rodziny.

Urzędnicy poselstwa mieszkają w gmachu poselstwa przy ulicy Worowskiego 21. Stołują się razem, prowadzą kooperatywę żywnościowo - restauracyjną, opłacają stałą opłatę za utrzymywanie służby, która kłopocze się, aby wszyscy urzędnicy byli zaopatrzeni w niezbędne środki do życia.

Przesadą byłoby, gdybyśmy gmach poselstwa nazwali twierdzą. Jest on jednak czemś w rodzaju tego. Jest to oaza polskości, punkt wytchnienia dla Polaka, który znajdzie się w Moskwie, jest terenem ciężkiej, odpowiedzialnej, wytrwałej pracy, która długiemi okresami trwa niemal bez przerwy całą dobę.



Gmach Poselstwa Polskiego przy ul. Worowskiego 21 w Moskwie



P. dr. Stanisław Patek, Minister Pełnomocny Polski w Moskwie



Salon recepcyjny Poselstwa Polskiego w Moskwie

W wywiadzie, udzielonym mi przez posła Patka, znalazło się ironiczne zdanie, że jeszcze przez czas dłuższy kierownictwo polską placówką dyplomatyczną w Moskwie nie będzie synekurą. Wszystkiem innem — dodajmy — tylko właśnie nie synekurą.

Atmosfera polityczna w Moskwie jest zasadniczo odmienna od atmosfery, w jakiej odbywa się współpraca ministerstwa spraw zagranicznych z korpusem dyplomatycznym. W Europie doręczenie obcemu poselstwu jakiejś noty w późnej godzinie nocnej odbywa się w wyjątkowych tylko warunkach. W Moskwie przedstawiciel Komisarjatu Ludowego Spraw Zagranicznych zjawia się w gmachu naszego poselstwa po północy, każe budzić posła lub radcę Zielezińskiego i doręcza notę. Myślicie, że to jakaś szczególnie doniosła sprawa dyktuje ten niezwykły pośpiech, że to może stosunkom polsko - sowieckim grozi jakieś niebezpieczeństwo? Bynajmniej! Tak odbywa się wymiana — jednostronna — not dyplomatycznych, w tych warunkach odbywają się rozmowy dyplomatyczne...

W okresie ożywionych dyskusyj dyplomatycznych polsko-sowieckich — a są one dość częste, personel poselstwa pracuje bez wytchnienia po 18—20 godz. na dobę. Przed podpisanie protokułu moskiewskiego poselstwo nasze przeżywało okres wyjątkowo intensywnej, wyczerpującej pracy. Nadawanie wówczas do Warszawy szyfrów o godz. czwartej nad ranem było chlebem codziennym. Poseł Patek, który sam o sobie utrzymuje, że jest niesłychanie wymagający w stosunku do swych współpracowników, mówi o ich pracy z najwyższym uznaniem, ceni wysoko zapał, z jakim spotyka się ze strony każdego swego pomocnika i nie ukrywa, że pod względem ofiarności urzędników naszych w Moskwie, pod względem ich wysiłku i wytrwałości, poselstwo polskie w Moskwie może zawstydzić najbardziej renomowane z pracowitości poselstwa w Moskwie.

Dziennikarze polscy, bawiący w Moskwie podczas pertraktacyj ostatecznych o podpisanie protokółu, mieli możność przekonania się, że uznanie, któremu poseł Patek dał wobec nich wyraz dla ofiarnej pracy poselstwa, nie jest zdawkowym jeno komplimentem, ale zasłużonem uznaniem dla ludzi, zawziętych w pracy, w reprezentowaniu interesów polskich.

Placówka dyplomatyczna w Moskwie jest świetną szkołą dla młodego pokolenia dyplomatów polskich, którzy są chętni do pracy, którzy mają nietylko formalne przygotowanie, ale żywy umysł, zmysł dla zagadnień społecznych i gospodarczych, którzy z obserwacji tego niezwykłego życia potrafią wyciągnąć jaknajwięcej korzyści dla swego kraju.

Placówka moskiewska rządu polskiego istotnie kształci ludzi, zmusza ich do bezustannego kontrolowania swych spostrzeżeń, do ciągłego śledzenia ewolucyj, zachodzących w olbrzymiem państwie, które wciąż trwa w fermencie rewolucji. Kilkuletni pobyt na takiej placówce musi człowieka myślącego, krytycznego uczynić niebylejakim znawcą stosunków sowieckich, tak skomplikowanych, tak odmiennych w porównaniu ze stosunkami w innych państwach. Polska ma w Moskwie kilku wybitnych znawców spraw rosyjskich. Nie mówiąc o pośle Patku, który przy protokóle moskiewskim pokazał wysoką klasę swej gry dyplomatycznej, przeprowadzonej wspólnie z centralą M. S. Z. w Warszawie, należy z obowiązku informacyjnego podnieść nieprzeciętną znajomość stosunków, jaką wykazuje radca poselstwa i konsul generalny w Moskwie, p. Adam Zieliński.

Mieczysław Wajnryb.

MIECZYSŁAW FULARSKI.

Polowanie na krokodyle



Indjanki niosące wodę.

W ciągu dnia umówiliśmy się z kacykiem, ile butelek „kanji", czyli wódki, wyrabianej z trzciny cukrowej, otrzyma on i jego pomocnicy w razie udatnego polowania i przygotowaliśmy wszystko, co było potrzeba do wyprawy. Indjanin nie potrzebuje się długo szykować do polowania, więc skoro tylko zmrok zapadł i ukazał się jasny księżyc, wyruszyliśmy z tolda.

Było nas czterech: dwóch białych i dwóch Indjan z plemienia Lenguasów, z których jeden uchodził wśród tubylców za najlepszego myśliwca w toldzie, a drugi znał doskonale kręte, usiane niezliczoną ilością bagnistych wysp i wysepek koryto rzeki. Mój biały towarzysz był znanym w całej okolicy „vaceano", który dzięki temu, że od wielu lat żył w przyjaźni z Lenguasami, znał dobrze ich zwyczaje i język i mógł się z nimi doskonale porozumiewać.

Uzbrojenie nasze stanowiły dwa karabinki systemu winchester i rewolwery bębenkowe; Indjanie nieśli lassa, krótkie oszczepy z przywiązaną do nich linką i gruby, mocny drążek, zaopatrzony na końcu w hak żelazny.

„Vaceano" trzymał dużą latarkę elektryczną z silnym reflektorem.

Przez godzinę maszerowaliśmy po stepie, z trudem tylko nadążając za Indjanami, stąpającymi przed nami żwawo i prawie bez szelestu.

Kształtne ich sylwetki rysowały się niewyraźnie w pomgle nocnej. Ich twarze o rysach ostrych, oświetlonych księżycem, głowy ozdobione piórami, wetkniętemi w gęstą grzywę włosów, spadających na ramiona, tworzyły całość pełną egzotycznego uroku.

Nie było jednak czasu na rozmyślania, bo Indjanie wyprzedzali nas ciągle. Wreszcie dotarliśmy do powalonego drzewa, obok którego stały wyciągnięte na brzeg dwie łódki, zwane przez krajowców „canoas".

Wsiedliśmy we czterech do większej łodzi. Na samym przedzie usiadł Juansito, uzbrojony w oszczep z przywiązanym do niego sznurem, w środku drugi Indjanin z drągiem, zaopatrzonym w hak, potem ja, a na samym końcu łódki — „vaceano", z wiosłem w ręku.

Siedziałem nieruchomo na dnie łodzi, wsparty kolanami o jej boki, starając się zachować możliwą równowagę, aby nie znaleźć się nieoczekiwanie w wodzie. Ze względu na żarłoczne „piranje" mogłoby się to skończyć śmiercią lub kalectwem, gdyż ryby te, bardzo pospolite w rzekach Paragwaju, mają szczęki, ostre jak nóż i z łatwością mogą odciąć nietylko palec, ale nawet rozszarpać człowieka.

Łódź, odbita ostrożnie od brzegu, wypłynęła na niewielką łachę rzeczną i, krążąc między grupami wysp i wysepek, dostała się na otwartą przestrzeń wodną, gładką, jak tafla lustrzana. Płynęliśmy powoli, w milczeniu. Od czasu do czasu słychać było tylko plusk zanurzanego w wodę wiosła i szept Juansita, który zwracał się do wiosłującego w tyle „vaceano", aby skierował łódź na lewo, albo na prawo.

Trzymając w pogotowiu swój winchester, rozglądałem się dokoła, czy nie dojrzę gdzieś błyszczących w ciemności niebieskawych oczu krokodyla, albo poruszenia fali, którąby zdradzała obecność zwierzęcia.

Ale napróżno wysiłałem wzrok. W jasnem świetle księżyca widać było tylko gładką powierzchnię wody i ciemną linję brzegu.

— No ha yacares — niema krokodyli — powiedziałem szeptem do moich towarzyszy.

— Como no? (jakto nie?) — jest ich tu wszędzie bardzo dużo, tylko, że ich jeszcze nie widzimy — odrzekł „vaceano".

Jakoż istotnie, po chwili, Juansito wyciągnął rękę i wskazując w kierunku brzegu, szepnął:

— Yacare — krokodyl.

— Sak majak tama? (gdzie jest sznur?) — zapytał Juansito.

Zwróciłem oczy w tę stronę i wytężyłem wzrok, ale zobaczyłem tylko wodę i odbijające się w niej gwiazdy i drzewa. Aby dojrzeć krokodyla na taką odległość, trzeba mieć oczy i instynkt Indjanina.

Dopiero po dłuższej chwili, gdy zbliżyliśmy się do potwora na kilkadziesiąt kroków, dostrzegłem lekki ruch wody, a potem niebieskawy punkt na jej powierzchni.

Płynęliśmy wzdłuż brzegu, osłonięci cieniem, padającym od drzew, zwieszających nad wodą swe bujne korony. Zwierz nie dostrzegł widocznie naszej obecności, bo nie uciekał, mimo że znajdowaliśmy się od niego zaledwie o kilkanaście kroków.

— Światło — szepnął Juansito, szykując do rzutu swój oszczep i porządkując sznury lassa, aby się nie poplątały.

Zabłysło światło, padając wprost na olbrzymi, potworny łeb, pokryty błyszczącemi guzami. Krokodyl, oszołomiony niespodziewanym blaskiem, zgłupiał i znieruchomiał zupełnie.

Zbliżyliśmy się do niego jeszcze na parę kroków. W tej chwili usłyszałem zgłuszony krzyk Indjanina i plusk oszczepu, wpadającego do wody.

Jednak, czy dlatego, że rzut był źle wymierzony, czy uderzenie było za słabe, czy może grot trafił w najtwardszą część grzbietu krokodyla, dość, że nagle zabulgotała woda od ruchu potężnego ogona, zakołysała się nasza łódź i krokodyl zniknął pod wodą bez śladu.



Indjanin strzelający z łuku.

Dopiero po półgodzinnem krążeniu wzdłuż brzegu i wysepek, pokrytych zaroślami, natrafiliśmy na innego krokodyla, przeprawiającego się z jednego na drugi brzeg rzeki.

Oślepiliśmy go światłem, jak poprzednika, dognaliśmy i w chwilę później oszczep zagłębił się w bok jego ciała.

Krokodyl natychmiast znikł pod wodą, łódź drgnęła od gwałtownego szarpnięcia i zaczęła się posuwać naprzód, ciągnięta przez potwora, uwiązanego na sznurze, który wyprężył się silnie.

Stopniowo jednak zmniejszała się jego rączość gdyż w miarę utraty krwi słabł i zwalniał biegu.

Wreszcie Juansito skrócił sznur, przyciągnął krokodyla bliżej, a jego towarzysz przytwierdził go mocno do łodzi.

Wtedy zaczęło się holowanie zdobyczy do brzegu, co odbywało się bardzo powoli z powodu gęstych zarośli, utrudniających lądowanie.

Wreszcie przybiliśmy do brzegu, wydobyliśmy łódź na piasek i zabraliśmy się do wyciągania z wody krokodyla. Juansito założył mu pod brzuch i przednie łapy pętlę, zrobioną z lassa, a zamkniętą paszczę związał na końcu kawałkiem cienkiego łyka.

W chwili, gdy krokodyl znalazł się połową swego ciała na brzegu, ku memu najwyższemu zdumieniu ożył nagle i ruszył ku nam, zamiatając wściekle ogonem na prawo i lewo.

Skoczyłem po stojący obok winchester, ale zdziwiłem się jeszcze bardziej, widząc, że Indjanie uciekają tylko przed uderzeniami ogona krokodyla, a nie boją się zupełnie jego paszczy.

Dopiero później wytłumaczono mi, że potwór, mając związaną paszczę, nie może jej otworzyć i jest zupełnie nieszkodliwy, jeśli tylko nie uda mu się dosięgnąć przeciwnika ogonem.

Przez chwilę patrzałem na miotanie się krokodyla, aż wreszcie tknięty litością, skróciłem jego męczarnie strzałem w oko.

Był to duży okaz prawie 2-metrowej długości. Grzbiet jego pokrywał twardy rogowy pancerz, składający się z oddzielnych, jakby prostokątnych tabliczek, złączonych i silnie zrośniętych ze sobą w ten sposób, że tworzyły jedną zwartą, twardą masę.

Przez całą długość ogona, wzdłuż jego górnej części, biegł rogowy grzebień. Brzuch tylko był miękki, koloru jasno-żółtego. Wielki, krwawiący pysk, wystające guzy i blade, zamglone oczy, czyniły wstrętne wrażenie.

Próbowaliśmy go podnieść, ale okazało się, że nie może być mowy o zabraniu go w całości. Wobec tego Indjanie odcięli mu tylko ogon, uważany przez nich za wielki przysmak.



Autor w gościnie u Lenguasów.

Kornel Makuszyński

Roskosze dnia letniego



Roskoszne chłopię w zbożu. (Photo-Plat).



Roskoszny flirt w hamaku (Photo „Fox").

Wśród „7 dni" istnieje zawsze taki jeden dzień najgorszy, w którym świtać zaczyna idea wyjazdu na lato. Pragnęliśmy czytelnikom naszym pomóc w tych rozważaniach, aby nie błądzili po ciemku. Będą to, niestety, uwagi pobieżne, cały bowiem rocznik „7 dni" nie wyczerpałby tematu. Mamy zamiar przeprowadzenia dowodu, że lato jest głupią i niepotrzebną porą roku. (W jednym z numerów grudniowych uczynimy to samo z zimą).

W ironicznem przysłowiu: „Czekaj tatka latka", mimo tego, że zdradza ono mało poszanowania względem własnego rodzica, lato wygląda jako coś najmilszego, za czem się tęskni. Widać z tego, że bardzo dawnym jest nierozumny przesąd, jakoby lato było najprzyjemniejszą porą roku. Jak sobie ludzie raz co wymyślą, to już tego klinem nie wybije. Czy ma jakikolwiek sens, takie powiedzenie: „ona na to, jak na lato"? Zdaje się, że ogromowi chęci odpowiadałaby każda pora roku, a wszystkie razem nie wystarczyłyby do ich zaspokojenia. Równie mało mają szans takie poetyczności, jak: „złoty uśmiech lata", albo „słońce, złoty pająk lata", — gdyż w lecie człowiek nigdy się nie śmieje, ani w deszczowej rozpaczy nikt się do niego nie śmieje, a pająki wprawdzie są, tylko słońca niema.

Być może, że dawniej było inaczej i ja sam pamiętam jeszcze z wczesnej młodości uczciwe letnie miesiące, kiedy się można było kąpać, spać na sianie, łowić ryby i innych takich boskich zażywać przyjemności. Strasznie się jednak zmieniło wszystko od owych błogosławionych czasów. Uczeni ludzie mówią, że uczciwe lato nigdy nie wróci, bo plamy się pokazały na słońcu, a ciemny naród twierdzi, że wszystkiemu jest winne radjo. Myślę, że i uczeni i bałwany nieuczone mają potrosze rację.

Straszliwe zamieszanie w stosunki międzyplanetarne miał jednak wnieść Pim, polski instytut meteorologiczny. Jest to instytucja urzędowa, z którą się i w niebie muszą liczyć. Wniosła ona jednak niesłychane zdenerwowanie przez nieposzanowanie tradycji. Ustaliło się od lat tysiąca ku ogólnemu zadowoleniu, że na katolickie święta był zawsze deszcz, a na żydowskie święta — pogoda, że ile razy zapowiedziano w któremkolwiek miasteczku „festyn", albo „zabawę ludową", deszcz był murowany, ile razy wyszedł kto na przechadzkę z parasolem, była pogoda i naodwrót, pozatem zaś kilku świętym i męczennikom zostały przyznane z powodu szczególnego dla nich nabożeństwa niejakie wpływy na meteorologię, z których ci dobrzy święci czasem korzystali, a czasem nie, bo taki święty nigdy nie jest biurokratą, chyba, że pochodził z Małopolski, co się dotąd nigdy nie zdarzyło, bo stamtąd pochodzą jedynie referenci i radcowie ministerjalni. Tymczasem Pim pod pozorem naukowego rozważania zawiłej tej sprawy, przekreślił mądre tradycje, świętym Pańskim odebrał władzę nad chmurami i zaczął sam działać. Miłe z tego wynikły awantury. Teraz to już nikt nic nie wie. Obrażona tradycja przestała działać, a Pim nadrabia miną starym sposobem augurów, którzy tumanili łatwowierny naród. Bo co komu z tego, że się dowie, że wiatr jest NO, trzy metry na sekundę, że o godzinie czwartej zmieni się w SW, że niż barometryczny jest nad Angorą, że ciśnienie jest 768, że opady nie przekraczają 2 mm i że z tego należy wyprowadzić wniosek o przypuszczalnej pogodzie z nieznacznemi opadami, kiedy się wszystko dzieje na odwrót z tego prostego powodu, że nikomu nieznaną kucharkę z pierwszego piętra łamało od rana w kościach, wobec tego musiał padać deszcz? Nauka jednak nie zgłębiła wszystkiego i nie należy jej ufać bezkrytycznie. Ja wiem, że ile razy udający paralityka żebrak nie zjawi się na swojem stanowisku pod Św. Krzyżem, to choćby była najpiękniejsza pogoda, to jednak za godzinę będzie lało. Skąd on o tem wie, tego ja nie wiem, ale on z pewnością wie.

Wszystkie te plamy słoneczne, radja, barometry i Pimy, narobiły jednak nieszczęścia. Nowe lato już nie jest owem dawnem, spokojnem, pogodnem latem. Każde nowe lato tem się jeszcze odznacza, że wedle powszechnego mniemania zawsze ma być wojna. Na wiosnę ma być zawsze zamach stanu, a w lecie wielka wojna. Wróżą tak i wróżą, aż wreszcie ktoś trafi. Bodajby skapiał przedtem, ale wreszcie zgadnie i będzie uchodził za proroka. To tak, jak ze snami: kiedy się komu śni Hiszpan, tańczący z szafą, to zawsze ktoś z nieznajomych umrze.



Świąteczne roskosze jazdy warszawską kolejką podjazdową. (Photo-Plat).

Pierwej, w minionych czasach, można było robić ścisłe plany i wyjeżdżać na lato bezpiecznie, wiadomo bowiem było, że będzie pogoda, wyjąwszy dni niektóre, z góry predystynowane i czarno w kalendarzu podkreślone. Jakiś św. Idzi, czy św. Palmira Panna musiała wylać z siebie swoją świętą żałość w strugach deszczu. Jakie dziś można snuć plany? Kogo zapytać o radę? Dokąd jechać i po co? Wszystko jest przypadkiem i loterją, nikt bowiem nie jest pewny, co jutro przyjdzie do głowy pensjonarjuszom zakładu obłąkanych, świat zaś i wszechświat nie wiele się w tej chwili od niego różnią.

Ale nietylko w pogodzie się zmieniło. Zmieniło się we wszystkiem. Starą receptę, aby pożywać słońce, kwaśne mleko, razowy chleb, kąpać się w rzece, biegać po lasach i udawać miłego zwierza, ujęto w karby i prawidła. W okresie lata ukazują się we wszystkich pismach pożyteczne rady rozmaitych hygjenistów; gdyby je zastosować wczambuł, nie wystarczyłoby na to ludzkiego życia. Nastąpił wobec tego okres zdenerwowanego niezdecydowania, każdy bowiem dzisiaj poznał tajniki hygjeny i każdy udziela rad. Kiedy zajadasz z wielkim smakiem chleb, zaraz ci ktoś powie, że źle czynisz, bo w chlebie są drożdże, które powodują nadkwaśności żołądka. Kiedy pijesz czystą wodę, też ci ktoś powie, że jesteś bałwan, bo się napełniasz oceanem płynu, który potem twoje biedne serce musi pompować z wysiłkiem i trudem.

— Więc co ja mam jeść? — pytasz przerażony.

— Jedz pan marchew, bo ma najwięcej witamin, a zamiast wody pij pan gorącą herbatę. A najlepiej to brać w lecie na przeczyszczenie.

— Ale po co, kiedy ja panie, jak ten koń!

— Aby ulżyć sercu.

Najlepiej jest jeść robaczki świętojańskie, bo ten artykuł spożywczy nie został jeszcze sklasyfikowany i oceniony.

Z wyborem miejsca odpoczynku jest gorzej. Mój przyjaciel, czerwony na gębie i biały na duszy, chciał wyjechać na wakacje. Był to człowiek

świetnie wyglądający, bo ani sam nie był urzędnikiem, ani też nie miał urzędnika w swoim rodzie. Wesoły, jak szczygieł, oznajmił swoim przyjaciołom:

— Panowie, jadę jutro na wieś!

Przyjaciele wzruszyli ramionami:

— Życie panu obrzydło, czy co?

— Dlaczego, przecież na wsi...

— Na wsi. Na wsi dostać pan może desynterji od niedojrzałych owoców, tyfusu od złej wody, bo gnojówka jest obok studni, malarji, bo są komary, a sto innych chorób od much. Pan wie, co to jest mucha?

— Wielkie mecyje! Mucha!

— Tak, ale mucha składa sto dwadzieścia miljonów jaj, więc jeśli pan teraz policzy, ile miljonów much jest na wsi, a potem to szybko pomnoży... Czemu pan tak zbladł?

— Nie jadę na wieś, — rzekł głucho mój przyjaciel.

Rozmyślał przez dwa dni, wreszcie powiada innym przyjaciołom:

— Panowie, jadę do Krynicy!

— Jedź pan, — rzecze mu jeden z nich, — ale należy wziąć pod uwagę, że samobójstwo w domu jest znacznie tańsze.

— Jakto: samobójstwo?

— Bo po kiego licha panu Krynica? Panu trzeba rozrywki, a nie kąpieli, radości, a nie Zubera.

— Ale powietrze, jakie tam powietrze!

— Powietrze. W Krynicy jest piętnaście tysięcy Żydów. Zuber jest dla pana za mocny, a Karol za słaby.

— A borowina?

— W borowinie może pan zostać na amen, bo w pańskim wieku nie tak znowu trudno o apopleksję.

— Nie jadę do Krynicy; — szepnął mój przyjaciel, bledszy dzisiaj, niż wczoraj.



Koskoszne prażenie się w skwarnym ogródku kawiarni warszawskiej — p. Komendant Miasta Warszawy płk. Wieniawa-Długoszowski w towarzystwie przedstawicieli Parnasu polskiego (Photo-Plat).

Ktoś mu doradził Truskawiec, a na to inny:

— Na głowę trzeba upaść, aby jechać do Truskawca; przecież tam piją podobno naftę, a to metalizuje żołądek.

— Co to znaczy „metalizuje"?

— Dobrze nie wiem, ale tak mówią. Panu potrzebny jest Niemirów.

— Ha! — rzekł wciąż blady mój przyjaciel,— jadę do Niemirowa...

— Zamów pan przynajmniej w Warszawie trumnę, żeby potem z tem nie było kłopotu, — rzecze ktoś rozumny. Do Niemirowa, — a panu na co Niemirów? Pan wygląda na chorą wątrobę, a co panu na to poradzą w Niemirowie?

— To ja tak wyglądam?

— Dziecko by to poznało, proszę pana.

— Więc dokąd jechać?

— Ja bym pojechał do Rabki.

— Jadę do Rabki! — krzyknął dziwnym głosem mój przyjaciel.

A na to jedna pani:

— Słyszałam, że tam jest szkarlatyna.

— Boże drogi! Jest tam teraz?

— Nie wiem, czy teraz, bo mówili mi o tem przed piętnastu laty. Ale pan wie, jak to jest... Jak się raz pokaże, to już potem trudno zadusić.

— Dokąd ja mam pojechać? — zapytał bladym głosem biedny człowiek.

— Do Zakopanego!

— Jadę do Zakopanego! — krzyknął ostatnim głosem mój przyjaciel.

— Do Zakopanego. Warjat też by lepiej nie wymyślił. Pan chyba nie wie, że trzeba mieć końskie zdrowie, aby się leczyć w Zakopanem. Pan zresztą tak wygląda, jakby pan miał silnie zaatakowane nerki, a Zakopane to na nerki szkodzi...

— Ja mam chore nerki?

— Jest pan blady i takie pan ma jakieś oczy.. Ale niech pan Zakopanego unika. To dobre dla Makuszyńskiego, albo dla malarzy, co się tam zapijają. Dla pana byłby, mojem zdaniem, dobry Busk...

O Busku mój przyjaciel nie dowiedział się niczego, bo wczoraj umarł. Zdaje się, że wmówili w niego wątrobę i nerki, i raka, i pomieszanie zmysłów.

Tak to wyglądają roskosze lata w okresie, kiedy hygjena święci niezmierne tryumfy i każdy się na niej zna.

Strasznie trudno jest być mądrym w lecie.

Blady Niko

Kiedy kapitan-lotnik Tadeusz Niesowicz otrzymał od Wisi bladego pierocika, ucieszył się ogromnie. Pokrył pocałunkami zaróżowione policzki małej żoneczki i obejrzał malutką laleczkę. W czarno-białem ubraniu, w czarnej masce na twarzy, z pod której czerwieniła się plama boleśnie uśmiechniętych ust, sprawiała wrażenie uciekiniera z balu maskowego liliputów. Jednakże do malutkiego serduszka musiała się wkraść wielka rozpacz, gdyż oczy niezasłonięte maską, były smutne, jak rozstanie.

— Niechaj pierocik przyniesie szczęście mojemu kochanemu bohaterowi! Nie chcę, żeby twą maskotką była czerwona pończoszka! Któż ci ją dał? Pewnie jakaś dawna znajoma — powiedziała Wisia.

— Moja pani zazdrosna? — śmiał się Tadeusz.

— Miałabym też o kogo! Ale powiedz od kogo otrzymałeś pończoszkę?

— Od Marysieńki — przyznał się.

Wisia wydęła pogardliwie usta.

— Marysieńki, Twojej dawnej przyjaciółki! Tembardziej chcę, żebyś się rozstał z pończoszką, której właścicielka napewno nigdy ci nie daruje, że porzuciłeś ją dla mnie! Moja laleczka ochroni cię napewno lepiej od nieszczęścia, niż ta pończocha...

— Dobrze, kochanie. Czerwona pończoszka pójdzie na emeryturę — roześmiał się Tadeusz. — Ale niechaj moja pani będzie chrzestną matką nowej maskotki Dalej Wichurko, jakie imię będzie nosić pierocik w doczesnem życiu?

Gdzieś z oddali popłynęły dźwięki starego foxtrotta, praojca charlestona... Wisia klasnęła w dłonie.

— Blady Niko! — zawołała — blady Niko!

I blady Niko został nazajutrz przymocowany do stójki na lewem skrzydle samolotu. Odtąd towarzyszył swojemu panu we wszystkich jego lotach.

Nie dostawał zawrotu głowy, gdy aparat pochylał się zbytnio, ulegając zbyt silnemu podmuchowi wiatru, lub gdy podczas śmiałych sztuk akrobatycznych budził dreszcz w sercach widzów „beczką" lub loopingiem. Nie skarżył się na silny chłód i nigdy mu nie przeszkadzała maska w podziwianiu cudów przyrody, które zakryte zazdrośnie szatą, uwitą z chmur, nagle zrzucały z siebie zbędną zasłonę i stawały w krasie zupełnej nagości przed oczami zachwyconego Nika-obserwatora.

Z chwilą gdy blady Niko, przymocowany do skrzydła samolotu, stał się nieodłącznym towarzyszem Tadeusza, Wisia uspokoiła się trochę. No i czas, ów lekarz wszystkich trosk i cierpień, zrobił też swoje. To też Wisia weselej już żegnała się z mężem, nie tonęła we łzach, czekając na jego powrót i nie wyobrażała sobie, że każdy dzwonek telefoniczny — to zwiastun katastrofy.

Oczekiwała zawodów i wraz z mężem cieszyła się, że nowy liść wawrzynu wpleciony zostanie w wieniec zwycięzcy.

W wilję zawodów, Tadeusz poszedł do hangarów, aby raz jeszcze obejrzeć aparat. Śliczna, lśniąca maszyna myśliwska, a na lewem jej skrzydle — mały, blady Niko.

Nie dowierzał mu zbytnio. Chociaż do tej pory pierocik doskonale odgrywał rolę anioła-stróża, wydawał mu się nieprzyjaźnie tajemniczy z tą swoją czarną maską na twarzy. I z głębi zabobonów wykwitła myśl, że jutro Niko pozostanie, a będzie mu towarzyszyć wzgardzona czerwona pończoszka. Nigdy go dawniej nie zawiodła, więc i teraz... Ale żonie nic nie powie. Nie chciał robić przykrości swojej ukochanej Wichurce...

I nadszedł wreszcie ów dzień oczekiwany. Słońce złociło nieliczne chmurki, śmiało się w szafirowych z zachwytu niebiosach. Nieznośny tylko wiatr kapryśnie przerywał słoneczną, radosną ciszę.

Tadeusz obudził się rano z niczem niewytłomaczonem, nieprzyjemnem przeczuciem. Wiatr trochę go niepokoił i jakiś głos wewnętrzny szeptał do ucha., że dzień dzisiejszy nie obejdzie się bez wypadku. Warunki konkursu nie były łatwe: trzeba było nabrać 3000 metrów wysokości w jaknajkrótszym czasie, na wysokości tej zatrzymać motor i lądować ze stojącem śmigłem, utrzymując się jak można tylko najdłużej w powietrzu. Jaknajkrótszy start i jaknajdłuższe lądowanie. Pozatem lotnik musiał zrobić trójkąt długości 200 kilometrów, dwa razy lądując na nieznanym mu terenie, wyznaczonym przez komisję konkursową.

Kiedy przybyli na lotnisko, tłum zaczął się już powoli zbierać. Małe, lecz silne i zwinne samoloty zdawały się drwić z całego świata, z potęgi żywiołów, z niepokoju wewnętrznego Tadeusza. Wisia trzymała się doskonale. Stała uśmiechnięta, pozornie wesoła; w jej niebieskich oczach nie można było dostrzec ani źdźbła strachu, jedynie bezbrzeżną miłość, którą błogosławiła Tadeusza na drogę.

To też kapitan uspokoił się. Pocałował żonę w rękę, coś wesoło szepnął jej do ucha i skierował się w stronę aparatu.

Stalowe ptaki drżały już z niecierpliwości, nie mogąc się jakby doczekać, kiedy nareszcie wzbiją się w przestworza. Słońce uśmiechało się łaskawie i pieściło swemi promieniami zebraną licznie publiczność i aparaty. Wiatr tylko dął silnie. Ktoś powiedział, że podobno kilkanaście metrów na sekundę.

— Będzie ciepło — roześmiał się Tadeusz, zakładając okulary.

Niepokój opuścił go zupełnie.

Uśmiechnął się do stojącej niedaleko żony.

Sędzia opuścił chorągiewkę. Jeden z ptaków posunął się po gładkiej ziemi i wzbił się w górę, żegnany wesołemi nawoływaniami pozostałych. Przeszła minuta, znowu chorągiewka opuszcza się i znowu stalowy ptak wzbija się w przestworza.

— Moja kolej — pomyślał Tadeusz.

I zaraz wzrok jego padł na lewe skrzydło, a nie widząc bladego Nika, do którego zdołał się jednak przyzwyczaić, uczuł w sercu ukłucie, niby złej, zimnej troski...

Ale natychmiast uspokoiły go szepty.

— To on, kapitan Niesowicz, as naszego lotnictwa.

Więc precz odegnał wkradający się do serca niepokój i śmiało wzbił się w przestworza.

— Czy to długo potrwa? — spytała Wisia porucznika Orałowskiego.

— Około trzech godzin — brzmiała odpowiedź.

Wisia cichutko westchnęła, ale nic nie odpowiedziała. Jakoś ten czas przejść musi, kiedyś ta męka oczekiwania skończy się!

*

Niesowicz znajdował się obecnie na wysokości jakichś tysiąca metrów i z lotniska widać było już zwycięskie skrzydlaty okręt. Powracał z trójkąta w doskonałym humorze. Wiedział, że zwycięstwo do niego należy. Śmiał się sam z siebie, ze swoich urojeń, ze zbędnego zdenerwowania.

— Jednakże blady Niko nie jest takim talizmanem szczęścia, za jakiego go Wichurka uważa... Moja stara, wzgardzona pończoszka posiada swoją moc i nawet wiatrowi się nie da. Ej, Maryś... — uśmiechnął się.

Nie będzie żadnego wypadku, dociągnie do lotniska, chociażby nawet teraz motor zdał!

Wtem podświadomy lęk, jakby nieubłagane przeznaczenie przypomniało mu, że do celu jeszcze daleko, że...

Nagle ujrzał kłęby czarnego dymu, który przedostawał się przez otwory od karabinów maszynowych.

Podświadomy lęk zamienił się w straszliwą rzeczywistość.

— Śmierć — pomyślał.

Oto na płonącym samolocie znajduje się na wysokości 1000 metrów. Ratunku nie ma, musi zginąć. Zrozpaczona myśl poleciała na skrzydłach tęsknoty do tej, której sądził, że nigdy już nie zobaczy do swojej ukochanej Wichurki.

Ale natychmiast nadludzkiem panowaniem zmusił myśl swoją do oderwania się od niechybnej zguby.

Nie! On nie umrze! Potrafi się wydostać z pułapki, w którą go wciągnęły rozhukane żywioły, obrażone, że oto nowożytny Ikar pragnął polecieć do słońca...

Zamknął dopływ benzyny, dał pełny gaz i postawił aparat na nos. 400 metrów pełne niepokoju, opanowanego żelazną dłonią woli... Dym przestał się wydobywać, śmigło stanęło... Aparat dążył do ziemi z przerażającą szybkością, której nic wstrzymać nie jest w stanie...

Ale wskutek właśnie szalonej szybkości opuszczania się, stracił tyle na wysokości, iż wiedział, że lądować musi gdzieś w mieście. Wybrał niewielki placyk, lecz myśl jedna zmienia się w modlitwę, w błagalną modlitwę skazanego na zagładę bohatera:

— Żeby tylko jedną nogę złamać... no dwie wreszcie... ale nic więcej! O Chryste!

W tej samej chwili wzrok jego padł na lewe skrzydło i uśmiechnął się smutnie.

— Czemu zdradziłem cię, blady Niko?

Starał się wykorzystać każdy metr wysokości, aby zmniejszyć nieuniknioną katastrofę... Nad samą ziemią ściągnął okulary i zrównał aparat... Jest gotów...

— I nagle ujrzał przed sobą duży płot, ogradzający skład desek...

— Koniec — szepczą pobladłe wargi. — Żegnaj i przebacz Wichurko!

Zamknął oczy... Niechaj się dzieje wola Boża!...

Głuchy trzask... huk... to stalowy ptak połamał sobie skrzydła, zdruzgotał płot, po przez parkan wypadł na ulicę i śmiertelnie zraniony, w ostatniem tchnieniu przewrócił się i legł nieruchomo.

*

Kiedy męczące godziny oczekiwania minęły i Wisia dojrzała nareszcie wśród słonecznych przestworzy powracający samolot, z piersi jej wydobyło się westchnienie ulgi. Nareszcie! Wraca! I nic mu się nie stało, jak zwykle zresztą!

Ale nagle, z boku kadłuba, przy motorze, wytrysnęła czarna rakieta dymu, który ciemnym płaszczem nieszczęścia otulił maszynę.

— Zapalił się! — krzyknął któryś z sędziów.

Wisia widziała jak przez mgłę, że samolot spada, że ginie jej z przed oczu pomiędzy domami... Jakieś okrzyki, nawoływania...

— Ależ pani Jadwigo, pani Jadwigo! — ktoś prosił.

Prowadzą ją do samochodu, gdzieś jadą, samochód staje... Oparta o czyjeś ramię idzie drogą beznadziejnej rozpaczy... Nic nie rozumie... I nagle całun spadłego na nią nieszczęścia rozdziera widok noszy, na których sanitarjusze niosą nieprzytomnego Tadeusza...

W ciszę bólu i przerażenia pada krzyk, którego nie poznaje, który wydaje się jej zupełnie obcym, chociaż wydostaje się z jej ściśniętego gardła..

— Nie żyje!

I natychmiast niby najcudowniejsza muzyka, ciche, lecz stanowcze, kojące jak balsam słowa lekarza...

— Żyje i żyć będzie! Naderwanie płuc i silny szok, ale wyjdzie z tego nasz bohater, zapewniam panią.

*

W ciszy szpitalnego pokoju leży chory jeszcze, ale uśmiechnięty już kapitan Niesowicz Z nocnego stolika spoglądają nań tajemnicze oczy bladego Nika, a przy łóżku siedzi szczęśliwa, ach! jak szczęśliwa Wisia.

— I to wszystko dlatego się stało, że zdradziłeś mnie, Teddy — pada pieszczotliwa wymówka. — Wolałeś czerwona pończoszkę Marysieńki, niż mojego Nika!

— Ale zwyciężyłem — przekomarza się.

— I nie kochasz... — nie wierzy w słowa, które sama wymawia.

— Kocham bardzo i nigdy się więcej nie rozstanę...

— Nie będziesz więcej latać? — radość, czy zdumienie, a może wstyd. Któż jest w stanie zrozumieć kobietę...

— Co? — wybuch dźwięcznego, radosnego, powracającego do życia śmiechu. — Niech moja śliczna pani nie przerywa i nie żartuje, a pozwoli dokończyć: i nigdy się więcej nie rozstanę z bladym Nikiem!

St. Osińska.

Czy wiecie że...

...w Berlinie wystawiono niedawno na ulicach automat sprzedający gazety, który odznacza się jeszcze tem, iż głośno dziękuje każdemu kupującemu.

*

...pierwsza wielka armja świata została wystawiona przez faraona Sezostrisa. Wynosiła ona 600 tysięcy żołnierzy pieszych, 24 tysiące kawalerzystów, 27 tysięcy wozów bojowych, oraz flotę liczebną 400 okrętów.

*

...najnowsze badania wykazały, iż Napoleon miał zaledwie 4 stopy i 5 cali wysokości. Równa się to 1 metr 57 cm.

*

...„Elektryczne Oko" zwie się świeżo wynaleziony w Ameryce aparat elektryczny, który odznacza się tem, iż potrafi sortować materjały według kolorów, liczyć osoby i przedmioty, oraz dostrzegać ogień i alarmować straż.

*

...w ubiegłym roku wyprodukowano na świecie 787 tys. ton gumy. Zużyto 777 tys. ton, z czego na samą Amerykę przypada 561 tysięcy ton, na Anglję, Francję i Niemcy 121 tysięcy ton, czyli razem 87%. Zaledwie 13% zużywa reszta krajów.

*

...Aleksander Wielki posiadał przyjaciela Hephaistiona. Skoro przyjaciel ten umarł, przesiedział Aleksander u jego łoża przez trzy dni i trzy noce bez żadnego posiłku. Następnie wybudowano stos, wysoki na 5 pięter, poczem — po spaleniu zwłok — nastąpiła wielka stypa pogrzebowa, podczas której spożyto 10,000 wołów.

*

...w ciągu jednego tylko roku 1903 aresztowano w Rosji 64 tysiące osób podejrzanych o przestępstwa polityczne.

*

...wielki wódz mongolski Temudżyn, po jednej z pierwszych zwycięskich walk z Taidżutami, kazał w lesie ustawić 70 kotłów, w których usmażył żywcem schwytanych nieprzyjaciół.

BRUNO WINAWER.

Powrót do natury

W gazetach piszą, że gdzieś tam w południowych Niemczech odbył się walny zjazd łazików, chodzików, walęsów (jest i takie słowo w języku polskim), wagabundów bezdomnych. Członkowie kongresu otrzymali wiele depesz od ludzi wybitnych, przypomnieli obywatelom solidnym, że Jack London był *trampem*, Gorkij był *brodiagą*, że genjalny Knut Hamsun, laureat fundacji Nobla, włóczył się po drogach od wsi do wsi. Trudno — cywilizacja nie wyprała nas jeszcze ze wszystkich instynktów i czasem budzi się coś takiego w najczcigodniejszym prezesie rady nadzorczej, w referencie i w aplikancie sądowym... Wiking, raubryter, Hunn, cygan i zawalidroga. Pewien profesor amerykański dowodzi w bardzo uczonej pracy, że człowiek — pomimo tyloletniej wprawy — nie przyzwyczaił się dotychczas jeszcze do pozycji *pionowej*. Cierpimy na różne skrzywienia kręgosłupa, bo odlegli przodkowie nasi chodzili — i to dość długo — na czworakach. Teraz *savoir-vivre* i zwyczaje towarzyskie każą nam stać na dwóch nogach. Nie przystosowaliśmy się — tak zupełnie — do tej nienaturalnej pozycji akrobatycznej i niektórzy medycy radzą swoim pacjentom, aby raniutko — nic nikomu nie mówiąc — pospacerowali sobie czasem po pokoju na czterech kończynach od łóżka do pieca. Licho wie, czy to pomoże, ale zaszkodzić nie zaszkodzi.

Skoro zaś tak jest, łaskawi panowie i piękne panie, jeżeli aż tak odległe atawizmy i przedawnione nałogi w nas pokutują — jak tu się dziwić, że w prokurencie poważnej firmy eksportowej odzywa się nagle— z nadejściem lata — daleki praszczur i wiking i że ojciec licznej rodziny obnaża pierś, zapuszcza włosy, nie goli brody i w wątłej łódeczce wypływa na spienione fale stawu albo rzeczki? Jak tu się dziwić (powtarzam), że dyrektor wielkiego magazynu konfekcji męskiej, posiadacz czterystu gotowych par spodni, rzuca nagle własne ineksprymable, dodaje je do owych czterystu butwiejących par i przyodziany w kuse trykotowe majtki tarza się na piachu na plaży. Właściciel pięciopiętrowej kamienicy ciska ją — że tak powiemy obrazowo — jak słomiany wiecheć i osiedla się na trzy miesiące pod Wawrem, gdzie żyje jak daleki przodek jego, nie kamienicznik, ale raczej jaskiniowiec i poprostu troglodyta. Osoba, świetnie pisząca na maszynie, premjowana na różnych konkursach, panowie, zapomina nagle o klawiszach, odwraca się od Remingtona i własnoręcznie — tak jest *własnoręcznie* — wycina na korze serce, przebite strzałą, i dwie albo cztery litery, a to wszystko bez kopji, w jednym egzemplarzu. Telefonistka odsuwa pogardliwie mikrofon i zamiast wołać trzydzieści dwa—piętnaście, dziewięć — trzydzieści, pięćset dwadzieścia pięć — czterdzieści cztery — krzyczy wniebogłosy: hop! hop! w dziewiczym lesie pod Urlami, jak walkirja w znanej operze Wagnera. Fabrykant wind elektrycznych pnie się sam—osobiście—na drzewo, reprezentant wielkiej firmy samochodowej jedzie oklep na łysej kobyle, na motorze o sile jednej krowy łaciatej, twórca wielkiego zakładu gastronomicznego ćpa surową rzepę. Właściciel składu win pije wodę ze studni, kierownik rzeźni miejskiej zostaje jaroszem, dyrektor teatru *sam gwiżdże* wieczorem, spozierając na księżyc i *uśmiecha się podczas spektaklu*. Madame Odette, słynna modystka, nosi kapuściany liść na głowie, wytworny Zyzio Pobrykalski, lekki amant, spaceruje w chodakach i łapserdakach, dyrektor znanego kantoru wekslowego łowi ryby w *czystej* wodzie. Kierownik wydziału paszportowego zachwyca się nigdzie niemeldowanym ptaszkiem niebieskim, niewiadomego pochodzenia i nazwiska, naczelnik ruchu kołowego przechodzi przez pole po linji *niezupełnie prostopadłej* do miedzy. Fryzjer moczy głowę w beczce ze zwykłą deszczówką, sprinter z ŁZS-u rozczulony patrzy na ślimaka, warszawiak wstaje o świcie, wybitny mówca słucha ćwirkania wróbla, nie zgłasza poprawki i nie żąda zamknięcia dyskusji.



Przedhistoryczni mieszkańcy wioski na palach. (Fot. „Stinks").

Ze wszystkich odmian gatunku *homo sapiens* tylko ssak, zwany w „Ziemiańskiej" artystą, nie zmienia się latem. Malarz osiedla się w Kazimierzu nad Wisłą i smaruje pędzlem prostokątne płótno albo owalną deszczułkę, a literat...

W roku zeszłym np. próbowałem się oderwać na czas dłuższy od pióra i kałamarza. Jest pewien las pod Kaliszem i w tym lesie pewne mrowisko. Rude owady z rodziny *Formicidae* miały owego lata sezon dość niezwykły. Olbrzymi, rozpróżniaczony kręgowiec warszawski (ja) zjawiał się co rano, przynosił przeróżne pudełeczka, wypełnione „jajeczkami", zrabowanemi gdzieindziej, i obserwował systemy, sposoby, badał formy życia zbiorowego. Mrówki są mądrzejsze od nas. Gromadka robotników transportowych wynosi w mgnieniu oka przez wąskie drzwi przedmiot większy stosunkowo od fortepianu i załatwia to w zupełnej ciszy—nikt nikomu nie wymyśla i „nie rozstawia mu rodziny po kątach". *Formicidae*, jak zauważyłem nie mają ministerstwa pracy, nie otrzymały pożyczki amerykańskiej, a jednak rozstrzygnęły sprawę bezrobotnych i jakoś nie narzekają na kiepską konjunkturę, drożyznę pieniądza, dyskonto i brak środków obiegowych.

Bardzo jestem ciekaw, jak się moje mrowisko rozwinęło w tym roku, jaki ma bilans handlowy — i nie omieszkam o dalszych losach rudych mrówek zawiadomić jasnowłosych czytelników „Siedmiu Dni".

Bo kiedy natura wyciągnie gryzipiórka do lasu — to nawet z tych skromnych przeżyć powstaje feljeton.

Złodziejska marynarka

Z cyklu „Cuda techniki policyjnej".

Kapitalnym przykładem nadzwyczajnych wyników laboratoryjnego badania kurzu, zebranego z części odzieży osób podejrzanych o przestępstwo, jest przygoda, jaka wydarzyła się niedawno francuskiemu inspektorowi policji, p. J. K. Charles'owi.

Filja pewnego wielkiego banku w mieście Havre padła ofiarą nocnego rabunku. Ponieważ nie ujawniono na miejscu żadnych zewnętrznych śladów włamania, policja przyszła do przekonania, że złodziej ukrył się w lokalu banku dnia poprzedniego.

Większość kas pancernych oparła się zresztą atakom włamywacza, który najwidoczniej operował zupełnie prymitywnemi narzędziami.

Na miejscu przestępstwa znaleziono zniszczoną marynarkę, którą prawdopodobnie zdjął włamywacz dla ułatwienia sobie ruchów podczas swej „pracy".

Inspektor Charles, rozpromieniony, jakgdyby znalazł jakiś skarb bezcenny, starannie zapakował ją do wielkiej torby z papieru pergaminowego, zaniósł do laboratorjum policyjnego i nie tracąc czasu przystąpił do „przesłuchania złodziejskiej marynarki". Pomagał mu w tem jeden z chemików policyjnych.



Zaczęto ,jak zwykle w takich wypadkach, od porządnego wytrzepania marynarki, czego dokonano nie wyjmując jej z torby, poczem uzyskaną w ten sposób garstkę kurzu, która osiadła na dnie torby, chemik poddał specjalnej analizie. Jednocześnie inspektor Charles zdjął miarę z cennego „dowodu rzeczowego", ustalając, że wzrost włamywacza wynosił równo mtr. i siedemdziesiąt centymetrów. Stwierdził również, że złoczyńca posiadał potężnie rozwiniętą klatkę piersiową.

Dokładna rewizja kieszeni dowiodła, że włamywacz jest palaczem. Pali fajkę, gdyż wskazywały na to nietylko gatunek tytoniu, lecz i szczypty popiołu, które osadzają się zwykle we wgłębieniu fajki.

Jeszcze kilka minut badania — i dzielny inspektor wydał okrzyk triumfu:

— „On" nie jest żonaty!

Na wniosek ten doprowadził go widok dwuch guzików, przyszytych niewprawną męską dłonią, oraz iście partackie zacerowanie dziury na prawym rękawie.

Każda chwila przynosiła nowe odkrycie. Jak małe dziecko, spragnione widoku cudowności, nie odrywał się inspektor od mikroskopu, epruwetek, oraz innych instrumentów. Zapał jego udzielił się nawet małomównemu chemikowi. To jeden, to drugi pochylał się nad ramieniem swego towarzysza, pełen emocji, jaką daje powolne odkrywanie tajemnicy.

— Zdarza się „mu" — i to dosyć często— spać w ubraniu. Wyleguje się wtedy na krótkiej pierzynce, która leży w nogach jego łóżka.

Wskazywały na to maleńkie puszki puchowe, ujawnione przez lupę.

— Włos kobiecy... Ślady pudru — o, tutaj na rękawie, o parę centymetrów nad łokciem. Jego kochanka jest dużo niższą od niego... Napewno spacerują wieczorami rączka pod rączkę... Czas mijał, jak w bajce. Postać włamywacza nabierała konturów, materjalizowała się, jakby na jakimś seansie spirytystycznym.

— Jest ślusarzem... Jego marynarka jest przesycona pyłem żelaznym... Bardzo mało natomiast pyłu miedzianego... Trochę tylko nad kieszeniami, zwłaszcza z lewej strony, w tem miejscu, gdzie ręka najczęściej styka się z suknem...

— Czy nie sądzi pan, że nasz ptaszek nosi brodę?

— Brodę? Nie! Ale wąsiki — tak... Przystrzyżone... Proszę — tutaj znalazłem dwa włoski...

Nie koniec na tem! Ta mała garstka pyłu była istotnie prawdziwym rogiem obfitości...

— Jest mańkutem, ponieważ nosi swój portfel w prawej kieszeni, nie zaś w lewej, jak postępują ludzie normalni...

— Trzeba nam jednak jakiejś bardziej charakterystycznej wskazówki — rzekł inspektor.

— Rrrozkaz! Zrobione! Czy w chwili obecnej mamy w porcie wiele okrętów z drzewa bukowego? Dodaję, że statek, o który mi chodzi znajduje się w tej chwili w reperacji w suchych dokach. Wskazują na to świeże opiłki drzewne — o, widzi pan — cała garsteczka!

Inspektor połączył się telefonicznie z Prefekturą Morską, gdzie otrzymał informację, że w jednym z doków istotnie od dni kilku znajduje się jacht holenderski, zbudowany z drzewa bukowego.

Nasi bohaterowie omal nie oszaleli z radości. Mieli ptaszka w reku!

Niestety! Nie mów hop, póki nie przeskoczysz... W chwili, gdy rozpromieniony inspektor puszczał się w pląsy po laboratorjum, zgłosił się do banku pewien poczciwy ślusarz, który w przededniu przestępstwa reperował zamki w dzień w sali, gdzie dokonano włamania. Przychodził po swoją marynarkę.

— Dawać go tu! — ryknął inspektor.

W pół godziny później stał przed nim właściciel „złodziejskiej marynarki", podobny jak kropla wody do innej kropli, do portretu, wyczarowanego w laboratorjum. NIESTETY! nie był złodziejem, choć nosił krótkie wąsiki, palił fajkę i wylegiwał się na pierzynie...

Pomyłki w identyfikowaniu przestępców są dosyć rzadkie. Technika policyjna doszła ostatnio niemal do poziomu swojego rodzaju artyzmu. Natomiast zbrodniarz, chociażby najcyniczniejszy i najbardziej wyrafinowany, nie jest w stanie uniknąć całego szeregu błędów, które go wydają w ręce sprawiedliwości. Przyczyną tych niedopatrzeń w zacieraniu po sobie śladów jest podniecenie psychiczne, oraz ciągła obawa przed pochwyceniem podczas „pracy" *in flagranti.*

Często zbytnia przesada i ostrożność przy spełnianiu złego czynu, jest najlepszą nitką, po której sprytny i spostrzegawczy wywiadowca dochodzi do osoby przestępcy.

(p)

Rzeczy ciekawe

Życie rośliny w filmie. Wpływ światła sztucznego na rozwój flory. Oświetlenie kurników, a wzmożenie produkcji jaj.

Największą przyjemność odczuwa człowiek może wtedy, kiedy współczesna technika i fizyka pozwala mu tak troszeczkę naśladować Pana Boga w jego wielkiem dziele twórczem. Jak miło naprzykład siedzieć wraz z Tesslą pod wielkimi transformatorami w otoczeniu sztucznych błyskawic metrowej długości. Od częstych wykładowań tworzy się istna aureola jasności, a tuż obok siedzi spokojnie, jakby nigdy nic, mizerny człowieczyna, pali papierosa, lub zagłębia się duszą w ciekawej lekturze.

Dzięki kinematografji możemy już przyglądać się rozwojowi rośliny od pierwszego kiełkowania, poprzez czas rozkwitu, aż do zwiędnięcia. Całe życie roślinki przesunie się przed nami w ciągu 15 minut, lub pół godziny na ekranie filmowym, i nie potrzebujemy uciekać się do żadnych tajemnych sztuczek fakirów.

Urządzenie aparatu jest właściwie bardzo proste. Taśma filmowa zostaje automatycznie oświetlana, co 10 lub 15 minut na krótką chwilę, wtedy, gdy zapalają się lampy umieszczone nad roślinką, a przeznaczone do oświetlenia objektu filmowanego.

Łatwo wykalkulować, że, jeżeli aparat nasz będzie działać naprzykład co 15 minut przez przeciąg jednej sekundy, jeden dzień życia roślinki skupi się w jednej i pół minucie, czyli cały jej żywot możemy obejrzeć w krótkim czasie jednej godziny, przyczem tempo daje się przyśpieszać, względnie zwalniać, zupełnie według wymagania.

Zbliżający się stale, choć powoli, okres ogólnego, przeludnienia Ziemi najdobitniej daje się zauważyć w gorączkowem dążeniu do powiększenia wydajności roli. Nigdy w tym celu nie dokonywano tylu doświadczeń i najrozmaitszych eksperymentów z roślinami co dziś.

Bada się wpływ światła rozmaitego koloru, nawet elektryczności, na rozwój świata flory. Oczywiście wielkie znaczenie dla rolnictwa i ogrodnictwa ma także poznanie chorób, jakim podobnie jak organizm zwierzęcy podlegają również rośliny, aby móc je następnie racjonalnie leczyć. W Ameryce, aby poznać każdą najmniejszą choćby ułomność drzew bada się je zapomocą promieni Roentgena. We Francji zaś hodowano już dla doświadczenia poziomki w promieniach światła, które składało się mniej więcej z tych samych składników, co światło słoneczne. Poziomki te rozmyślnie nigdy nie zostały wystawione na „powietrze", pod działanio słońca, a jednak niczem nie różniły się od zwykłych, chyba tem, że cena ich jest znacznie większa ze względu na użycie prądu elektrycznego do oświetlenia.

Najskrupulatniejsze doświadczenia nad wpływem światła sztucznego na rozwój roślin, przeprowadzili dwaj doskonali fizjolodzy amerykańscy, pracujący w Biurze Przemysłu roślinnego amerykańskiego ministerstwa rolnictwa, profesorowie W. Garner i H. A. Allard. Przy doświadczeniach tych badali znaczenie światła zarówno słonecznego, jak sztucznego na świat flory, przyczem stwierdzili, że zapomocą oświetlenia sztucznego można dowolnie przyśpieszyć, lub opóźnić rozwój roślin.

Co się tyczy barwy światła, to światło dzienne bynajmniej nie odpowiada idealnie wymaganiom naszej flory. Promienie fjołkowe, zawarte w świetle słońca, nie są roślinom potrzebne, gdyż kwiaty przy braku ich nie tracą na kolorze, a rozwijają się tak samo dobrze. W każdym bądź razie krótkie fale świetlne są zawsze w wystarczającej ilości zawarte w świetle lamp elektrycznych dostatecznie jasnych.

Wspomnijmy jeszcze, że bardzo dobre wyniki osiągnięto zapomocą stosowania sztucznego światła przy hodowli kur. Ogólnie wiadomą jest rzeczą, że kury z tego powodu mniej znoszą jaj porą zimową, ponieważ więcej śpią, a krócej i mniej jedzą. Organizm kury, który jest pod tym względem podobny do fabryki chemicznej nie może wobec zmniejszonej ilości surowca tyle produkować w czasie zimy.

Aby zmusić upierzony ludek do krótszego spania, w Ameryce, na stacji doświadczalnej Worth-Carolina, zaprowadzono w jednym kurniku oświetlenie elektryczne, które stosowano w umiejętny sposób sztucznie przedłużało dzień. Doświadczenia dokonano na grupie 31 kur, przyczem dla porównania taką samą ilość podobnych kur żywiono i hodowano nie stosując sztucznego oświetlenia. Dochód ze sprzedaży jaj, pierwszej grupy, po odliczeniu kosztów oświetlenia, oraz nadwyżki pożywienia, przewyższał w ciągu jednego roku około 275 złotych dochód osiągnięty z hodowli drugiej grupy. Jest to bardzo wiele!

Jeślibyśmy bowiem przeliczyli tą nadwyżkę dochodu rocznego na miljon kur, otrzymalibyśmy około 9 miljonów złotych z wzrostu produkcji!

Dr. Feliks Burdecki.

Pod banderą T-wa „Chargeurs Reunis"







Dnia 4-go maja zawinął do portu w Brest (Francja) piękny statek Towarzystwa „Chargeurs Reunis", „Krakus" kursujący bezpośrednio między Gdynią a portami Ameryki Południowej.

„Krakus" przywiózł w swych wygodnych kabinach około pięćdziesięciu Polaków z Brazylji i Argentyny, którzy odbyli tę długą podróż, aby odetchnąć powietrzem ojczystem, zwiedzić Powszechną Wystawę Krajową w Poznaniu i zapoznać swe dzieci z krajem, w którym stały kolebki ich ojców i matek.

Z Brestu nasi rodacy południowo-amerykańscy udali się do Paryża, gdzie serdecznie podejmowani przez T-wo „Chargeurs Reunis", zwiedzili piękne zabytki tego miasta, m. in. wieżę inż. Eiffla; prastarą katedrę Notre Dame i niedawno odsłonięty pomnik największego wieszcza polskiego, Adama Mickiewicza. (p. fotografje obok).

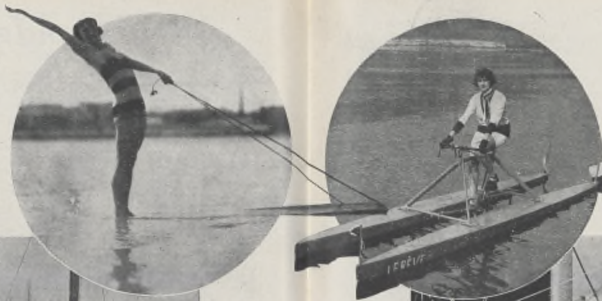
Rwały się jednak ich serca do miłej Ojczyzny — to też zabawili w Paryżu tylko dzień jeden, udając się wprost do Warszawy, gdzie doznali równie serdecznego przyjęcia.

Podnieść należy z uznaniem troskliwą opiekę, jaką przez cały czas podróży T-wo „Chargeurs Reunis" otaczało naszych miłych gości z za oceanu, którzy z wycieczki tej zachowają jaknajlepsze wspomnienia.

„Chargeurs Reunis" dowiodło raz jeszcze, że stoi na wysokości wielkiego zadania — utrzymywania łączności między Polakami z Ameryki Południowej, a ich europejską Ojczyzną.

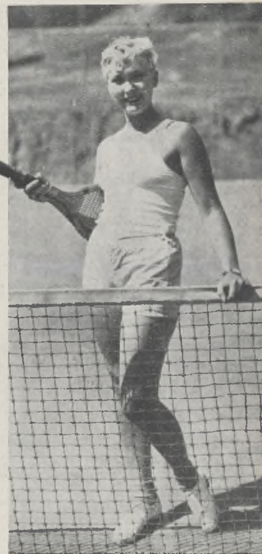
(n.)

Kobieta w sporcie



„Wszystko to już było" — powiedział mądry Ben Akiba. I miał rację, chociażby w dziedzinie stosunku kobiety do sportu ongi i dzisiaj. Piękna pani, tak jak obecnie, tylko nieco w odmiennym wydaniu, używała sportów i w starożytności.

Starożytne greczynki narówni z mężczyznami oddawały się ćwiczeniom fizycznym — hołdując przedewszystkiem grom sportowym, pływaniu, tańcom oraz lekkiej - atletyce.



Colette Merton, słunna amerykańska mistrzyni rakiety, marzy o pobiciu swej najgroźniejszej rywalki, Zuzanny Lenglain. Narazie, jak to widzimy na naszej fotografji, zwycięża ją bezapelacyjnie swą oryginalną urodą (Wide World)





U góry po stronie lewej: znakomita tancerka Loda Halama z równym wdziękiem tańczy na desce wiślanej, jak na deskach teatru „Morskie Oko". (Photo - Plat). Obok: Paryżanka na „hydrocyklu" (Wide World). Po str. lewej — artystki filmowe Fay Webb i Gwen Lee na swym jachcie. Po str. prawej — Raquel Torres i Jos. Dunn na hydroplanie. U dołu — te same wraz z Ewą de Berne, na pokładzie własnego jachtu (Julfilm).



Najsłynniejsza lekko - atletka polska, p. Halina Konopacka - Matuszewska, która zdobyła laur mistrzostwa na ostatniej Olimpjadzie w Amsterdamie. Jak wiadomo, małżonkiem jej jest obecny minister Skarbu, płk. Ignacy Matuszewski.

(U dołu) A przecież zdałam egzamin szoferski... (Fot. Fox)



Sport ich był o tyle od dzisiejszego racjonalniejszy i higjeniczniejszy, że oddawały mu się jedynie na otwartych boiskach, ćwicząc najczęściej nago.

Jeśli do tego dodamy codzienną kąpiel, masaż oraz inne zabiegi higjeniczne, odkryjemy źródło pochodzenia tych klasycznych kształtów kobiecych, godnych dłuta Fidjusza lub pędzla Apellesa. Bo nie fantazja starożytnego mistrza, ale rzeczywistość kazała artyście pozostawić potomności Wenus Milońską — ten niedościgniony wzór pięknej budowy kobiecej — wykwit sztuki, a zarazem i kopię niegdyś żywego modelu...

Minęły czasy greckie. Upadł Rzym, a z nim znikły powoli spaczone już ślady greckiej kultury fizycznej.

Średniowiecze zasadniczo nic godnego wspomnienia w dziedzinie kultury fizycznej i sportu kobiecego nie przynosi.

Niemniej i w tym okresie dziejów nie są odosobnione wypadki oddawania się niewiast pewnym zajęciom że tak się wyrażę „sportowym", często poprostu z konieczności życia codziennego wynikającym.

Cieszy się więc dużem powodzeniem jazda konna. Strzela młoda niewiasta z łuku i kuszy, buszuje konno ostępy i z oszczepem w ręku narówni z mężczyzna idzie na grubego zwierza.

Okres romantyzmu odznaczył się zupełnym zastojem ćwiczeń cielesnych.

Piękne Filony, Julje, Laury i Aniele — białe niewolnice ówczesnych czasów — zasłuchane w dźwięki klawikordu i „odmawiane" po salonach wiersze, — pocóż miały myśleć wówczas o czemś niegodnem chwili zastanowienia — o ciele...

Nastały jednak inne czasy. Kobieta, wciągana coraz bardziej w życie codzienne, ima się różnorodnej pracy narówni z płcią brzydką, wychodząc niejednokrotnie obronną ręką z tej walki o byt.

Muszę być zdrową i silną — powiedziała sobie po wojnie niewiasta — i całym pędem oddała się uprawianiu najróżnorodniejszych sportów.

Ruch sportowy ogarnął wszystkie prawie kraje i niema dzisiaj gałęzi sportu, na którejby swej małej stopy kobieta nie postawiła.

I u nas w Polsce jesteśmy od kilku lat świadkami wspaniałego rozwoju sportów kobiecych. Z grona niewiast wyrosła przecież nasza chluba sportu lekko - atletycznego, H. Konopacka — mistrzyni świata w rzucie dyskiem.

Niewiasty nasze na wzór zagranicy wyszły tłumnie na boiska sportowe, opanowały wodę, ujęły kierownicę samochodu i samolotu, chwyciły, jak ongiś amazonki, za łuk i jak one dzielnie dosiadają konia.

Wielką domeną sportu kobiecego stały się gry sportowe pod różnemi postaciami.

Piękna pani jeździ dziś w zimie na nartach, przegląda się na łyżwach w lustrzanej tafli lodu, a w wodzie na nowoczesnym ślizgowcu, lub rowerze wodnym.

Swój krótki urlop pragnie spędzić gdzieś na łonie natury w prymitywnym namiocie, zdala od huku i kurzu wielkiego miasta. Pozatem poświęca codziennie parę chwil gimnastyce i tańcom, wiedząc, że ruch daje pełnię sił i dużo energji życiowej, tak dzisiaj każdemu niezbędnej.

Maluczko, a wielki Tunney skapituluje przed drobną piąstką kobiecą.

M. Kurleto.



Piękne panie współczesne nie lękają się sportów tak wybitnie męskich, jak rugby (Phot. Wipro)

(U dołu) Boże! ileż kłopotów z tym karburatorem... (Fot. Fox)



Res sacra Miser!

Sprawa niesienia pomocy nędzy, zwalczania chorób zakaźnych, krzewienia higieny i t. p. humanitarnym celom, acz chętnie popierana przez najszersze sfery społeczeństwa wciąż jednak wymaga jeszcze wielkich ofiar.

Istotnie bowiem młody organizm państwowy nie zdołał na tyle okrzepnąć, by móc we własnym zakresie zwalczać w całej pełni niedomagania społeczne.

Część więc ciężaru musi ponosić społeczeństwo.

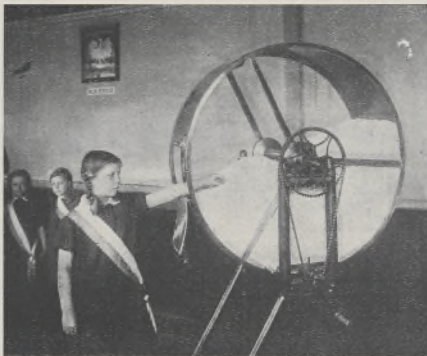
Przywykło ono wprawdzie do samarytańskiej tej służby, czego dowód dało przez szeregi lat, kiedy samo jedynie dbać musiało o wspieranie nędzy.

Zadanie dzisiaj staje się tem trudniejsze, iż bogate nawet instytucje, choćby takie, jak Warszawskie Towarzystwo Dobroczynności, posiadające olbrzymi, miljonowej wartości majątek, nie są w stanie sprostać rosnącym potrzebom i zostały nawet zniewolone do znacznego zredukowania zakresu swego działania.

Należy zauważyć jednocześnie, iż społeczeństwo, które, jak powiedzieliśmy przez tyle dziesiątków lat umiało własnemi siłami zakładać i rozbudowywać imponujące wprost instytucje, zasilać je funduszami, zbieranemi często wśród najbiedniejszych sfer — samo popadło w nędzę, zasługującą na poparcie.

Oczywistem się staje, iż w podobnych okolicznościach egzystencja instytucyj humanitarnych staje się coraz trudniejsza, nieomal rozpaczliwa, nędzna, jak ta sama nędza, którą winna ratować.

W żmudnej walce, którą muszą codziennie toczyć ideowcy, poświęcający się niesieniu dobra, coraz to odpadają najlepsze siły, wyczerpane do ostatka i zniechęcone.


Mała sierotka, wychowanica Warszawskiego Tow. Dobroczynności podczas losowania Loterji Dobroczynnej. (Fot. Sitkowski)

Władze państwowe nie mogły długo patrzeć obojętnym wzrokiem na te sprawy i mimo, iż same nie mogą podołać wielu poczynaniom, leżącym w ich własnym zakresie, musiały stworzyć instytucję, któraby mogła czynnie poprzeć zakłady wychowawcze i instytucje humanitarne — sierocińce, żłobki, szpitale, schroniska dla starców, kolonje wakacyjne, organizacje przeciwgruźlicze, towarzystwa eugeniczne i t. d.

Szczęśliwy pomysł skojarzenia dwuch momentów — wyzyskania pochopności ludzkiej do ratowania swej sytuacji przez grę i niesienie tym sposobem całemu szeregowi instytucyj pomocy, został zrealizowany drogą stworzenia państwowej loterji na cele dobroczynne.

Ciężar utrzymania instytucji, rozłożony jest tym sposobem na uczestników loterji poświęcających drobną kwotę od 4 — 8 Zł. na kupno losu, mających natomiast możność otrzymania znacznych wygranych... Plan bowiem loterji przewiduje wygrane w ogólnej sumie 188.000 Zł., z których największa wynosi 30.000 złotych.

Każdy może łatwo nabyć losy, gdyż są one sprzedawane we wszystkich kolekturach, kasach skarbowych, i t. p. w każdem mieście na całem terytorjum Rzplitej.

Ryzyko — jeśli ryzykiem można nazwać przekonanie, iż drobna kwota za kupno losu jest przeznaczona na niesienie pomocy nędzy — jest minimalne. Szanse wygrania zato są znaczne

Nie wahajmy się ani chwili, każdy winien przyczynić się do otarcia łez ludziom nieszczęśliwym.

Rozrywki umysłowe

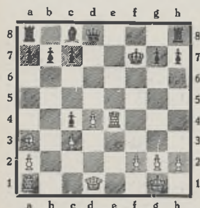
Partja szachów, która miała być grana żywemi figurami w Parku Sobieskiego w Warszawie w dn. 2 czerwca.

1.	e2—e4	e7—e5
2.	Sg1—f3	Sb8—c6
3.	Gf1—c4	Gf8—c5
4.	c2—c3	Sg8—f6
5.	d2—d4	e5×d4
6.	c3×d4	Gc5—b4+
7.	Sb1—c3	Sf6×e4
8.	O—O	Gb4×c3
9.	b2×c3	d7—d5
10.	Gc1—a3	d5×c4
11.	Wf1—e1	f7—f5

Tu można było grać Gc8—e6 i następnie Hd8—d5, ale wówczas nie byłoby efektownej partji...

12.	Sf3—d2	Ke8—f7
13.	Sd2×e4	f5×e4
14.	We1×e4	

Czarne: p. L. Orlański.



Białe: K. Makarczyk.

14.		Wh8—e8
15.	Hd1—h5+	g7—g6
16.	Hh5×h7+	Kf7—f6
17.	Wa1—e1	

można również We4—f4+

17.	......	We8—h8
18.	We4—e6+	Gc8×e6
19.	We1×e6+	Kf6×e6
20.	Hh7×g6+	

Publiczność woli mata od zakończenia wiecznym szachem (po Ke6—d7) wobec czego p. Orlański się zasłonił.

20.	....	Hd8—f6
21.	d4—d5+	Ke6—e5

pionki decydują

22.	f2—f4+	Hf6×f4
23.	He6—g6 i mat.	

ZADANIE I.

Z Poznania do Warszawy wyrusza pociąg z szybkością 60 klm. na godzinę. Jednocześnie z Warszawy wyrusza pociąg do Poznania z tą samą szybkością, a za nim co godzina następne pociągi. Ile pociągów napotka nasz pociąg zanim przybędzie do Warszawy, o ile przyjmujemy, że odległość do przebycia wynosi 300 klm?

ZADANIE II.

Z Warszawy do Poznania (300 klm.) wyruszają jednocześnie 2 pociągi z szybkością 60 klm. na godzinę. Jednocześnie z Warszawy wyrusza aeroplan do Poznania z szybkością 150 klm. na godzinę. Dolatuje on do pociągu pędzącego w kierunku Warszawy, poczem zawraca w kierunku pociągu warszawskiego. Po zrównaniu się z tym, znów zawraca i t. d. aż do miejsca spotkania się pociągów. Jaką drogę przebędzie aeroplan, o ile nie traci czasu na zakrętach? Podać rozwiązanie i metodę.

ZADANIE III.

Chemin de fer.

Która kombinacja z dwu kart jest częstsza w grze w chemin de fer'a ósemka czy dziewiątka?

ZADANIE IV.

Znaleźć liczbę sześciocyfrową, która pomnożona przez 2 lub 3 lub 4 lub 5 lub 6 daje te same cyfry w tej samej kolejności, tylko poczynając od innej np. zamiast abcdef daje efabcd i t. d.

BILETY WIZYTOWE

ułożył Janek Reiss ze Złoczewa

POS. KAZIM. BARTEL

Z powyższych liter ułożyć zawód i miejsce zamieszkania (miasto w Europie).

Ułożył p. Tadeusz Herb. z Warszawy

LEON GERGONT

ROM. SYPEŁEWICZ

Z powyższych liter ułożyć zawód tych osób.

Ułożył p. H. Berlin z Warszawy.

POR. I. HEKTOR LETNICKI

Jakie stanowisko zajmuje ten pan?

Ułożył Iwo.

IGO SŁAWOMIR DYZEK

Z powyższych liter ułożyć zawód tego pana.

Za trafne rozwiązanie 5 biletów i 4 zadań przeznacza się 5 nagród książkowych do rozlosowania. Termin nadsyłania rozw. do dn. 19 czerwca b. r.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. Jakób K-ski. Krzyżówki chętnie zamieścimy. Dobra krzyżówka powinna posiadać znaczną liczbę skrzyżowań i możliwie mało czarnych kwadratów. Ważną jest rzeczą dobór słów. Np. podobne słowa jak: „wspak" w obcym języku fonetycznie przedimek czynią z krzyżówki pośmiewisko zwolenników rozrywek umysłowych. Klasyczna krzyżówka składa się ze słów w pierwszym przypadku, polskich lub cudzoziemskich, używanych w mowie polskiej (np. niektóre łacińskie słowa i t. d.). Również nie można powoływać się na nazwiska niezbyt wybitnych osobistości z przed kilkuset lat ( ), jak to czynią niektórzy konstruktorzy krzyżówek. Stosunkowo mniej ważnym jest deseń krzyżówki i jego estetyka.

P. I. Demian. Dziękujemy, ale nie zamieścimy.

Kocha — lubi — miłuje...

Sienkiewicz w swej znakomitej powieści „Bez dogmatu" subtelnie rozróżnia znaczenia wyrazów „lubić" i „kochać". „Lubienie" ujmuje on w ten sposób, że osoba przez nas lubiana jest nam pokrewna duchowo; że znajdujemy coś w duszy tej osoby, co uwielbiamy, miłujemy, lubimy, coś, co znajduje oddźwięk w naszej duszy. Takie lubienie jest wyrazem „pokrewieństwa z doboru", ale pokrewieństwa umysłowo-duchowego.

Natomiast wyraz „kochać" ma inne znaczenie. Jeżeli kogoś kochamy (to znaczy, jeżeli mężczyzna kocha kobietę), to w pierwszym rzędzie i nadewszystko miłość ta wyraża się dla przyczyn czysto fizycznego pociągu; to „kochanie' jest wyrazem gorącego pożądania osoby kochanej płci drugiej. — Jeżeli natomiast i mężczyzna czasem w stosunku do mężczyzny tak się wyraża, że go „kocha", to w gruncie rzeczy mężczyzna mężczyznę (np. zwolennik poety, muzyka, pisarza, wodza) raczej bardzo uwielbia, miłuje, lubi. Wówczas nie jest należycie uświadomione w osobie tak się wyrażającej, co faktycznie oznacza słowo „kochać". To też, jeżeli mężczyzna kocha mężczyznę, to przeważnie brat brata, brat ojca i t. p. Żołnierz może jeszcze „kochać" swego wodza dlatego, że mu jest bliski niejako fizycznie, to „kochanie" jest jakby wyrazem rodzinnego pokrewieństwa.

Znamienne to jest dla naszego języka, że posiada on dwa takie nader bliskie sobie znaczeniem synonimy „kochać" i „lubić", jakich, zdaje się, żaden inny język nie posiada; nie posiadają ich przynajmniej główne języki europejskie. Po francusku „aimer", po łacinie „amare", po niemiecku „lieben", po angielsku „ love", po rosyjsku „ljubit' " — oznaczają „kochać". Rzecz godna uwagi, że w ostatnich trzech językach (łącznie z polskiem „lubić"), wyrazy te mają jedną i tą samą osnowę czy prapierwiastek; nasze „lubić", odpowiadając ich „kochać", nam było snadź jeszcze zbyt niedostatecznem wyrażeniem najgłębszego i najwznioślejszego uczucia. Myśmy to uczucie musieli jeszcze w stosunku do osób ukochanych spotęgować. Znajduje się to w związku ze znaną polską impulsywnością i uczuciowością. Nam tedy niemiecko-rosyjsko-angielskie „lubić" nie wystarczało — i dlatego ukuliśmy nasze wspaniałe „kochać".

W językach wymienionych powyżej nie można tedy zgoła wyrazić odcieniowo tego, co się w naszym języku wyraża zapomocą „lubić". Dla innych języków „lubić" czy „kochać" — to wszystko jedno. A to dla psychiki narodowej ważnem jest przecież, że się specjalną troską językowo-literacką, że tak powiem, otoczyło te właśnie wyrazy: „kochać" i „lubić".

Posiadamy nadto inny jeszcze wyraz, będący synonimem wyrazów „kochać" i „lubić", mianowicie — „miłość". Uprzytomnijmy sobie wraz synonimy rzeczownikowe: „kochanie", „lubienie", „miłość".

W mowie potocznej „miłość" jest pono wyrazem w pierwszym rzędzie pociągu płciowego, nadto może wyrażać efekty lub stany mniej lub więcej duchowo zabarwiane. Kiedy mówimy: „psychologja miłości", mamy na myśli miłość płciową. Inne zastosowanie ma ten wyraz w powiedzeniu: „miłość rodzinna", jeszcze inne w powiedzeniu: „miłość do swego narodu" i t. d. — „Miłość pochodzi od słowa „miłować"; mają one jednakową osnowę, jednakże znaczenie „miłować" i „miłość" zgoła nie pokrywają się ze sobą. Może od „miłować" należałoby utworzyć „miłowanie", nieco rażąco brzmiące dlatego, że posiadamy już „zmiłowanie".

Powtarzamy, dla języka naszego jest to nader znamienne, że ma takie dwa wyrazy jak „kochać" i „lubić", nie mówiąc już o wyrazach takich, jak: uwielbiać, miłować, ubóstwiać i t. p., które wprawdzie też są synonimami dwóch pierwszych, ale w swych znaczeniach za bardzo oddalają się od „kochania" i „lubienia". Należy subtelnie rozróżniać synonimy, bo tak czyniąc, zbogacamy rzeczywistość. Kiedy natomiast nie rozróżniamy ich, wówczas odmienne szeregi rzeczywistości są dla nas zamazane i zlewają się chaotycznie ze sobą. No i kształcimy wraz nasze odczuwanie wewnętrzne, kiedy, wyróżniając się w piśmie lub słowie, czynimy subtelne różnice pomiędzy znaczeniami, jakie wkładamy w pewne „znaki", t. zn. słowa. W tym celu też utworzono specjalną naukę o znaczeniu wyrazów — semazjologię.

Stanisław Besser.

Jak zdobyć równowagę ducha

Są natury, które łatwo tracą równowagę ducha i w okolicznościach, wymagających hartu, są słabe i bezradne, aż jakaś dłoń silna i przyjazna zjawia się im z pomocą.

Są jednak natury, które potrafią zachować spokój nawet w chwilach najkrytyczniejszych np. flegmatycy, lub ludzie o stępionych, a nawet wyraźnie tępych duszach nie reagują na zjawiska psychiczne i są jakby okryci „pancerzem odporności". Umieją oni pracować i wyzyskiwać sytuacje realne, potrafią się uwolnić sami od wszystkich „niepotrzebnych" i uciążliwych nastrojów, cierpią znacznie mniej, nie znają prawie psychicznych zawikłań — podczas gdy subtelne i wrażliwe serca łamią się, a nawet giną.

Natomiast ludzie młodzi, niedoświadczeni, ludzie o „dziewczęcych" naturach, niewyrobieni życiowo, pełni bujnej wobraźni, o małym zapasie sił odpornych uginają się pod ciężarem przeżyć psychicznych i kończą zwykle tragicznie.

Niezależnie od chorobliwych zaburzeń ustroju psychicznego, które przeważnie leczą neurolodzy i psychiatrzy zapomocą psychoterapji, współczesna generacja dotknięta jest niezwykle rozpowszechnionem cierpieniem zwanem „utrapieniem duchowem". W tym wypadku przychodzi człowiekowi z pomocą wiedza zwana „naukową opieką ducha", która ma za zadanie moralne leczenie duszy z trosk codziennych.

Kościół posiada dobroczynne lekarstwo na te smutki: spowiedź! Każdy człowiek przystępujący do spowiedzi wyzbywa się nurtujących go smutnych i bolesnych myśli, które wszak nie są niczem innem, jak tylko skutkami popełnionych grzechów. Myśli takie po wyjawieniu ich giną, ustępując miejsca spokojnemu nastrojowi ducha.

Najlepsze wyniki w leczeniu psychicznie zrujnowanych ludzi (o ile w pierwszym rzędzie nie zachodzą powody natury materjalnej) można osiągnąć przez dokładne zaznajomienie się z ogólnym przebiegiem rozwoju stanu duchowego oraz indywidualnemi właściwościami człowieka.

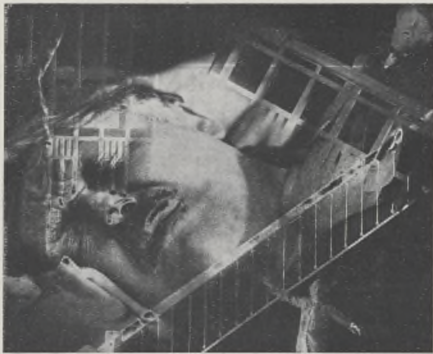
Wielką rolę przy podobnem badaniu psychologicznem odgrywa znajomość działających sił stanu podświadomego, które mogą być ujawnione zapomocą rozumnych perswazyj lub innych metod; ujawnienie takie doprowadza do stanu uświadomienia, a w ślad za tem unieszkodliwienia siły zgubnej, zatracającej pod działaniem moralnej terapji swój demoniczny wpływ.

Oprócz wymienionych już ciężkich zaburzeń psychicznych spowodowanych zrządzeniem losu, a objawiających się reakcją psychiczną i komplikacjami, mamy jeszcze do zanotowania — zwłaszcza w obecnem stuleciu tak wzmożonego i szybkiego tempa życia, — liczne wypadki typowych zaburzeń, powstające po największej części wskutek szalonego rytmu czasu.

Wszyscy prawie znamy te zdarzające się powikłania w harmonji naszego życia psychicznego. Podobnie jak nadejście silnej burzy zapowiadają na pozór nieznaczne objawy atmosferyczne, znamionami nadchodzącej „eksplozji duchowej reakcji" są: przygnębienie, charakterystyczny skurcz twarzy, mrukliwe odpowiedzi, zamknięcie się w sobie. Wystarczy potem najbłahszy, najdrobniejszy powód, aby wywołać błyskawice i gromy. Szef biura, nie mogąc panować nad sobą, drze w uniesieniu pracę podwładnego z ogromnem oburzeniem za lada drobiazg—rozgniewany małżonek, również dla niepozornego powodu, trzaska drzwiami, inny znów daje wyraz swemu niezadowoleniu krzycząc głośno.

Troski zawodowe, spowodowane nędzą materjalną, przedewszystkiem zaś ogromne przybicie psychiczne, smutek, niespokojne i bezcelowe gonienie tam i zpowrotem, przygnębiające halucynacje tworzą jeszcze inny rodzaj depresji duchowej, którą jednakże da się ominąć za pomocą rozsądnego zastanowienia się, usilnej pracy i świadomie wzbudzonej siły woli.

W związku z tem zwraca się uwagę na konieczność i zbawienność celowego i regularnego trybu życia. Wymienione wyżej zaburzenia energji mają po większej części podłoże w wadliwym procesie fizycznym — t. zn. tryb życia w stosunku do wydajności pracy, do miary zużytkowanej energji jest nieodpowiedni w odniesieniu do wymagań hygieny i rozsądnie rozłożonej funkcji organizmu.



Senne zmory człowieka przemęczonego pracą (fot. Ufa)

Szerokie masy jak również i jednostki muszą być gruntownie poinformowane *o zasadach hygieny psychicznej.* Kardynalnemi jej warunkami są: dostateczne wysypianie się, racjonalne i odpowiednie odżywianie, planowe zużywanie energji przy pracy, umiarkowane „używanie życia", wyrównanie nadmiaru zużycia energji przez wypoczynek i spokój.

Wiedza psychologiczna wskazuje, żeby o ludziach drażliwych, skłonnych do wybuchów *nie* wydawać sądu bezwzględnego co do ich wartości: jedynie w wypadkach przekroczenia przeciw obyczajności możemy być do tego upoważnieni, ponieważ ci nieszczęśliwi przecież i tak dość cierpią z powodu wyrzutów sumienia z racji ich ogólnopsychicznego zachowania się. W takich wypadkach drogą do poprawy charakteru i poczucia moralnego toruje się za pomocą rozsądnych, w spokojnej formie udzielanych wskazówek.



Edna Ficher i Marcelina Day grające w jednym z filmów role histeryczek (fot. Julfilm)

Podobne zmiany równowagi organicznej i psychicznej zachodzą nieraz u bardzo młodych ludzi w czasie ich rozwoju duchowego. Powyższe objawy typowych zaburzeń psychicznych zdarzają się także czasem i u ludzi normalnych, kiedy są zawodowo przepracowani np. pewne typowe objawy przed egzaminami. Również geologiczne lub klimatyczne przyczyny mogą człowieka wyprowadzić z równowagi ducha; np. burza może łatwo rozluźnić węzły psychiczne człowieka i wywołać stan halucynacji, afektacji. Niezwykłe zimna wywołują u ludzi również zaburzenia psychiczne. Czasem podobne zaburzenia mogą być wynikiem zatrucia organizmu wywołane chorobą. Środki odurzające zatruwają również psychikę.

Dla zobrazowania tego stanu podajemy przykład: W samochodzie chłodnica zagrzała się wskutek nieprawidłowego i nierozsądnego używania motoru i z tej przyczyny działalność jego zmalała. Rozsądny kierowca bada powód, chłodzi motor i nie dopuszcza do przesilenia. Początkujący lub niefachowy kierowca forsuje maszynę, doprowadza ją do stanu groźnego, a przy dalszem bezmyślnem postępowaniu pewne części silnika będą poważnie a może i na zawsze uszkodzone. Wewnętrzne części cylindra tak się ogrzały, że silnik popędza sam dalej, póki się nie ugasi gazów zupełnie, aż wreszcie całkiem przestaje działać. Nie wolno wtedy polewać silnika wodą lub napełniać nią zbiornika; spowodowałoby to tylko ciężkie uszkodzenie. W takim wypadku najlepiej jest pozostawić silnik, ten wzburzony technicznie organizm, w spokoju i dopiero po należytem ochłodzeniu przystąpić do prawidłowego usunięcia przyczyny zaburzenia.

Takie same objawy można obserwować w ustroju nerwowym człowieka. Nieodpowiednie odżywianie się, brak witamin i innych potrzebnych odżywczych substancyj, nadmiar pracy w stosunku do sił wykonawczych organizmu, nierozsądne zatruwania go naprzykład nikotyną, przemęczenie, brak odpoczynku, wywołują taki sam stan jaki powyżej wykazaliśmy w silniku. Nerwowe przesilenie u człowieka objawia się również „ogrzaniem motoru". Trzeba to sobie tylko umieć uprzytomnić i wytłumaczyć. Ostrożny kierowca tak samo szybko się zorjentuje i odgadnie powody rozstroju jak zawodowy psycholog lub rozsądny lekarz. Nerwowy organizm ludzki często wykazuje stan „samozapalny" (wewnętrzne rozdrażnienie). Łatwo poznać te objawy, bo są analogiczne z objawami w silniku samochodowym.

Organizm ludzki może również uledz stałemu uszkodzeniu przez nieumiejętne obchodzenie się z nim; powinniśmy więc należycie wypoczywać lub też „używać spokoju".

Organizm ludzki, chociaż jest tak delikatnie skonstruowany, pracuje dziesiątki lat. Dziesiątki lat wyczuwamy elektryczny prąd nerwów — słyszymy bezustanne bicie serca — silnika — zużywamy nasz system przepalania, muskuły.

Czyż nie byłaby wskazaną stała opieka, częste odnawianie i rozsądne pielęgnowanie tego ludzkiego silnika?

Jeżeli usiłujemy w powyższych kilku przykładach podać wskazówki zmierzające do usunięcia zaburzeń psychicznych w życiu codziennem, to nie znaczy, że nasza energja, uczucia i wyobraźnia powinna się toczyć szarym trybem codziennej monotonji, zawsze zrównoważonej i spokojnej. Nie dla każdego impulsywnego i wrażliwego człowieka dusza będzie organem nastrojowym dla wyrażania najwyższej roskoszy lub najgłębszego smutku. Może być organem wyrażającym najsubtelniejsze uczucia lub najsilniejsze skupienie woli.

Chcemy iść przebojem przez życie z uciechą i namiętnością uczuć — ale musimy się nauczyć odpierać gorycz życia codziennego. Musimy się nauczyć w ważnych chwilach mieć odwagę i stawiać mężnie czoło niezbadanym a niedoścignionym wpływom losu. Musimy własną siłą woli zdobyć równowagę ducha.

(s)

W sieciach stręczycieli małżeństw

Żaden z okresów poprzednich nie szczycił się taką ilością niebieskich ptaków i rycerzy księżyca, co okres powojenny.

Tempo amerykańskie obecnego życia, trudności w zdobywaniu środków do jakiego takiego utrzymania, oraz rosnąca na każdem polu konkurencja, pchnęła wielu ludzi do posługiwania się niemoralnemi metodami zdobywania pieniędzy. Jednym z takich nowotworów, wyrosłych na bagnistej i sprzyjającej wszelkim ciemnym procederom glebie wojny, jest osoba pośrednika małżeństw i szafarza miłości.

Coraz częstsze anonsy i inseraty w poczytnych dziennikach dowodzą, że proceder ten zyskuje sobie coraz większe prawo obywatelstwa. Psotnik Amor poszedł z duchem czasu.

Zawiesił na kołku wysłużony łuk, zdarł z oczu przepaskę i przedzierzgnął się w koncesjonowanego profesjonalistę. Pokoik z niekrępującem wejściem na ustronnej ulicy, parę ogłoszeń pod dużo obiecującemi nazwami jak: „Przystań miłości", „Welon ślubny" — ba, nawet własny organ dyskretnie kolportowany wśród tłumu naiwnych — i interes gotów.

Nie każdy ma dzisiaj czas na długie konkury, choć nie brak poszukiwaczy mężów lub żon. Amor, ucharakteryzowany na dobrodusznego poczciwca, potrafi dogodzić każdemu. Zawsze dostosuje się do gustu petenta. Ma na składzie towar „w najlepszym gatunku"...

Młoda, naiwna dziewczyna, po przeczytaniu zachęcającego anonsu, zwraca się listownie do pośrednika małżeństw z zapytaniem, czy może liczyć na pomoc w odszukaniu dla siebie ideału. Otrzymuje na firmowym papierze dyskretną odpowiedź, z prośbą o łaskawe pofatygowanie się osobiście, celem omówienia interesu. Idzie. Z bijącem sercem przyciska dzwonek u drzwi, za któremi zamknięte jest jej całe szczęście. Na progu spotyka ją starsza pani w podeszłym wieku, która dowiedziawszy się o celu wizyty, wprowadza klientkę do banalnie umeblowanego pokoiku z wielkiem biurkiem pośrodku. Coprawda pokoik nie robi pociągającego wrażenia, ale zato na ścianie wisi oleodruk, przedstawiający parę młodych małżonków, powracających z uroczystości ślubnej... Obrazek ten wytwarza odpowiedni nastrój, działający na psychikę klijentki.

Po chwili ukazuje się pośrednik, który zobowiązał się w liście wyszukania prawdziwej, idealnej miłości. Jest on świetnym psychologiem i umie odrazu wyczuć słabą stronę dziewczyny. Ostrożnie przystępuje do interesu. Zaczyna zachwalać swoje skromne usługi, opowiadając o szczęśliwych małżeństwach skojarzonych przez siebie, pokazuje jakieś dziękczynne listy, słowem maluje siebie w jaknajpiękniejszych barwach.

Akurat posiada na składzie ze dwunastu kawalerów. Bajeczna wprost okazja! Jest jeden obywatel ziemski, który posiada coś około 2000 morgów i prześliczną, prawdziwie pańską rezydencję. A jeżeli szanowna pani tęskni za życiem z człowiekiem bardziej intellektualnym — owszem, jest również profesor, zarabiający 400 złotych miesięcznie. Mało to coprawda, ale można jakoś wyżyć...

Jest również jeden kupiec, oczywiście duży kupiec, właściciel olbrzymiego składu towarów na prowincji. Miasto duże, roskoszne... powietrze wprost balsamiczne... a jeżeli pani kocha dzieci, to jest również wdowiec z dwojgiem prześlicznych chłopców...

Nie; pani nawet bardzo lubi dzieci ale pragnęłaby mieć swoje, własne...

— Mój Boże! rozumiem to doskonale — wykrzykuje pośrednik. Padają magiczne słowa: „szczęście rodzinne" — i tym wytrychem trafia chytry oszust do serca naiwnej dziewczyny, która zna miłość tylko z romansów lub ze słyszenia. Nie przeszkadza to oczywiście, że tytułem wpisowego wpłaca 10 złotych. Któż chętnie nie zapłaci takiej drobnostki, wobec ogromu szczęścia i bogactwa, które pośrednik maluje w nęcących barwach? Zresztą, za trudy poniesione przy pośrednictwie, zapłaci szczęśliwy wybraniec. Aha! pani powinna przychodzić dwa razy w tygodniu, we środy i niedziele między 7-mą i 9-tą. Będzie można trochę potańczyć, trochę porozmawiać, no i poznać kandydatów na mężów. Oczywiście pani rozumie, że pośrednik nie jest krezusem i nie stać go na częstowanie gości herbatą i ciastkami. Wobec czego prosi o dodatkowe 10 złotych na urządzenie skromnego podwieczorku...

Dziewczyna przychodzi, oczywiście, punktualnie, dwa razy tygodniowo. Pije podłą herbatę i chrupie tanio ciasteczka, ale zato spotyka kandydatów do ślubnego kobierca. Poznaje właściciela ziemskiego z pańską rezydencją, kupca, profesora i wielu innych. Wyglądają oni trochę ordynarnie, ale trudno przecież wymagać od rolnika, żeby się odznaczał podobną elegancją, co tancerze na dancingach. Z czasem jego zbyt śmiałe dowcipy przestają ją razić. Chodzi jak zahypnotyzowana, nie widząc grubijańskiego zachowania się kandydatów na mężów. Wszystko przedstawia się jej w różowem świetle. Atmosfera zaczyna się rozgrzewać, pożegnania stają się coraz serdeczniejsze. Chętnie też wpłaca pośrednikowi nowe sumy na herbatki tańcujące...

Tego rodzaju operacje finansowe udają się dosyć długo. Wreszcie pewnego dnia ubóstwiany przez dziewczynę wybraniec znika, a na jego miejsce wyrasta legjon nowych obwiesiów, dostarczonych przez pośrednika. Wtedy dopiero spada łuska z oczu oszukiwanej. Widzi, że wpadła w ręce zawodowego oszusta, który ją obdzierał ze skóry. Zaczyna rozpaczać i wstydzić się przed samą sobą, że szukała szczęścia na tak niepewnej drodze...

Oszustwa pośredników matrymonialnych przybierają najrozmaitsze formy. Jednym z najniebezpieczniejszych jest osobnik, który sam występuje w roli kandydata.

Pewien oszust, wykolejony akademik, grasował w Niemczech Południowych. Z zadziwiającą łatwością zawierał przygodne znajomości z młodemi damami, którym ze łzami w oczach opowiadał nieszczęśliwe dzieje swojego życia. Zajmował uprzednio wysokie stanowisko w kopalniach górnośląskich w Polsce, lecz został stamtąd wydalony. Jego dwoje dzieci znajduje się u hrabiny X. na wychowaniu. Żona chora umysłowo w szpitalu. On sam na bruku, bez środków do życia, ale z nadzieją otrzymania odpowiedniego swojemu wykształceniu stanowiska. Tego rodzaju bajeczkami zyskiwał ogólne współczucie i litość. Znał przytem 5 języków, a wiadomości jakie mu pozostały z czasów uniwersyteckich, posłużyły mu teraz do otumaniania naiwnych. Młode i współczujące damy bladły nieraz ze wzruszenia, słuchając opowiadań o zadziwiających przygodach, jakie przeżył biedny wygnaniec. Znał on kilka części świata, które przemierzył własnemi nogami podczas wojny światowej, pił wodę z Jordanu, ściskał osobiście rękę staremu Winnetou, wysłany był przez rząd w specjalnej misji do Obregona... A teraz ten wysoce zasłużony człowiek jest pozbawiony dzieci i domu...

Oszust tak umiał poruszyć serca kobiet, że utrzymywały go przez długi czas, przyczem utrzymanie to było bardzo dostatnie.

Inny znów osobnik uprawiał zawodowo bigamję w Paryżu, Nowym Yorku i Buenos Aires, przyczem doprowadzał swoje żony do samobójstwa. Proceder ten przez długie lata dawał mu wcale niezły dochód, aż wreszcie pomimo ustawicznej zmiany nazwisk, wyglądu i paszportów, został schwytany i osadzony w więzieniu.

Jest rzeczą nadzwyczaj ciekawą, że większość oszustów matrymonjalnych rekrutuje się z pośród włamywaczy, którzy odsiedziawszy dłuższą karę więzienia imają się tego „sercowego" rzemiosła, przynoszącego zawsze pewne i dostatnie zyski.

Znany powieściopisarz angielski E. L. Bulwer opisuje w jednej ze swoich powieści oszustwa matrymonialne, zakrojone na szeroką skalę, które miały miejsce w Anglji w połowie ubiegłego stulecia. Pewien bardzo przystojny i wysoce wykształcony młodzieniec zorganizował bandę, składającą się przeważnie z drobnych złodziei i założył **„Towarzystwo Oszustw Matrymonjalnych"**. Przy pomocy swoich godnych kompanów dostawał się do domów uczciwych i bogatych obywateli, nawiązywał romans z córką, poczem oddawał ją na pastwę swej bandy, która pod najrozmaitszemi pozorami wyłudzała pieniądze od biednej ofiary.

Wszyscy oszuści posługują się wtedy stałą przynętą: wieczną i stałą miłością. Gra jest bardzo łatwa. Każda z ofiar marzy o swoim własnym domu, o miłym i pracowitym mężu, o dzieciach, i obrazy te, umiejętnie malowane przed jej oczami przez oszusta, każą zapomnieć zahypnotyzowanej kobiecie o koniecznej ostrożności. Mając grunt w ten sposób przygotowany, oszust stosuje stare kawały, które nigdy jednak nie tracą na swej aktualności. Zapomniał ze sobą pugilaresu, oczekuje na większą sumę pieniędzy, które mają nadejść pocztą, prowadzi proces o majorat, albo ma okazje kupienia ślicznych i tanich mebli do przyszłego gniazdka, — niestety, niema w tej chwili potrzebnych na to pieniędzy. Zakochana dziewczyna, świata za nim nie widząc, oddaje mu książeczkę oszczędnościową lub całą posiadaną gotówkę. Dopiąwszy celu, znika oszust pośpiesznie, by wypłynąć w innem miejscu pod nową postacią.

Wtedy dopiero zaczyna się tragedja. Biedna kobieta, obdarta z pieniędzy i z wiary do ludzi, często kończy samobójstwem.

Krótkie wzmianki dziennikarskie tłomaczą samobójstwa młodych niewiast nieszczęśliwą miłością. Jakie jednak nieraz tragedje kryją w sobie te suche wiadomości kronikarskie? Ile zawiedzionej miłości, ile może poświęceń i przejść życiowych przeprzedziło ten straszny czyn?

Oszuści matrymonialni i fałszerze miłości należą do kategorji najgorszego gatunku przestępców, nie zasługujących na żadne okoliczności łagodzące.

Jednym z najniebezpieczniejszych typów pośredników matrymonjalnych, posługujących się wyżej wskazanemi metodami jest handlarz żywym towarem. Pozbawiony wszelkich instynktów ludzkich, obojętny na łzy i nieszczęście swych ofiar, zbrodniarz ów, ciągnie zyski z hańby ludzkiej, z zimną krwią wtrącając naiwne dziewczęta w bagno lupanarów.

Ofiary jego rekrutują się ze wszystkich warstw społecznych, przyczem najwdzięczniejsze pole dla swych łotrowskich tranzakcyj napotyka wśród dziewcząt wiejskich, przyjeżdżających do miasta w poszukiwaniu pracy. Wypatruje na dworcu kolejowym dziewczynę, która przestraszona i oszołomiona niespotykanym dotychczas zgiełkiem, ruchem i ilością ludzi, z ufnością powierza się przystojnemu i uczynnemu nieznajomemu, ofiarowującemu swą pomoc i radę. Z reguły zostaje ulokowana u „ciotki" nieznajomego, która obiecuje wystarać się o dobrą posadę.

„Wyrabianie posady" trwa dłużej lub krócej, w zależności od czasu, potrzebnego na przygotowanie bezpiecznego przetransportowania nowej ofiary do miejsca przeznaczenia, względnie do skompletowania większej partji „towaru".

„Towar" odstawiają specjalni agenci lub agentki najrozmaitszemi drogami do pogranicza, po przekroczeniu którego dziewczęta, znalazłszy się w obcym kraju, są zdane na ich łaskę i niełaskę.

Innemi metodami kierują się agenci handlu żywym towarem w stosunku do dziewcząt z miasta, które są znacznie przezorniejsze i nie dają się łatwo oszukać. Najulubieńszym sposobem omotania swej ofiary jest miłość i małżeństwo. Agent wyznaje gorącą miłość swej ofierze, bierze z nią ślub, poczem zupełnie legalnie wywozi ją zagranicę, do Argentyny lub Brazylji. Naiwna kobieta roskoszuje się tą czarowną podróżą poślubną, nie przypuszczając, że każda chwila zbliża ją do hańby. Po przyjeździe na kontynent amerykański mąż zrzuca maskę i sprzedaje swą żonę do lupanaru. Ofiarą takich małżeństw padają przeważnie dziewczęta żydowskie, ponieważ śluby u rabina nie są tak skrupulatne rejestrowana, jak w urzędach stanu cywilnego i zdarza się często, jak to miało miejsce w Warszawie, że jeden i ten sam osobnik zawarł u tego samego rabina trzy małżeństwa w ciągu roku, wywożąc wszystkie żony na sprzedaż do Argentyny.

Z. G.

Czy wiecie że...

...statystyka sowiecka przyznaje, że na 100.000 mieszkańców stolicy — Moskwy istnieje 1 teatr, 2 kina, 16 świątyń różnych wyznań i... 39 szynków.

*

...pierwszy budżet państwowy został zrobiony przez ministra Neckera we Francji w roku 1781.

*

...prezydent Hoover przyjął w ciągu jednego dnia 1757 osób.

Teatry warszawskie

(„Ładna historja!" — kom. G. de Caillaveta, R. de Flers'a i S. Rey'a w Teatrze Polskim; *„W czepku urodzony"* — kom. W. Rapackiego w Teatrze Letnim).

Publiczność, przepełniająca salę Teatru Polskiego na jubileuszowym spektaklu znakomitej i zasłużonej artystki, pani Zofji Czaplińskiej darzyła ją huraganami serdecznych oklasków nietylko za jej talent najszczerszy i za pół wieku pracy scenicznej, lecz i za niezwykle trafny wybór sztuki jubileuszowej. Utalentowana i wiecznie młoda jubilatka dzieliła się swym triumfem z autorami „Ładnej historji", przepysznej komedji, która do dziś dnia również nie straciła swych rumieńców młodości, jak przed laty przykuwa uwagę widza, wzrusza go i bawi, olśniewając swą prostą i logiczną budową, bogactwem pomysłów i obserwacyj, oraz wysokim gatunkiem dowcipu.

Komedji tej nigdy dosyć nasłuchać się nie można. Słuchanie jej jest jakby ożywczą kąpielą dla naszego ducha i naszego intellektu, nieco wyjałowiałych w atmosferze produkcji teatralnej kilku lat ostatnich. Jest roskoszą dla prawdziwych smakoszów teatru, lekcją poglądową dla współczesnych pisarzy scenicznych, oraz idealną kanwą, na której w pełni zabłysnąć mogą talenty aktorskie.



Pp. Malicka i Czaplińska w „Ładnej historji". (Fot. St. Brzozowski)

Przy tej sposobności nie poraz pierwszy mamy miłą sposbność do stwierdzenia, że niewiele teatrów na świecie może się poszczycić tak dobranym zespołem, jak Teatr Polski. Każda rola w każdej sztuce może być tu — i jest — odpowiednio obsadzona i leży na swym wykonawcy, jak ulał.

Zasłużonej jubilatce, p. Czaplińskiej, która swą piękną, stylową i pełną charakteru rolę pobłażliwej babuni przepoiła serdecznem ciepłem wielkiego i szczerego talentu, dzielnie sekundowała p. Malicka, z wdziękiem i właściwą sobie słodyczą odtwarzając rolę Heleny de Trevillac. Na czoło wykonawców ról męskich wysunął się p. Marjusz Maszyński, z roli Walerego de Barroyer czyniąc prawdziwe cacko groteskowego humoru. Natomiast p. Leszczyński wydał mi się niedostatecznie przekonywujący w roli Andrzeja, którą objął po p. Węgierce. Stopień jego zapału miłosnego nie usprawiedliwiał dostatecznie (zwłaszcza w akcie pierwszym) szalonych postanowień, które powzięła młoda oblubienica w białym welonie, na kilka minut przed ceremonją ślubną czmychając z przed nosa swego narzeczonego. Po zostali wykonawcy, z pp. Fritsche, Służbicką, Munclingrową, i Małkowskim na czele, byli bez zarzutu.

„Ładna historja" jest naprawdę ładną historją i przez czas długi nie powinna schodzić z afisza.

*

Niemałem powodzeniem cieszy się świeżo wystawiona w Teatrze Letnim nowa sztuka p. Wincentego Rapackiego (Syna). W tej niefrasobliwej i bezpretensjonalnej komedji, napisanej żywo i z dużą znajomością sceny oraz publiczności, popularny komedjopisarz bawi nas zawrotną karjerą polskiego tenora, który, wyśmiewany nawet przez własnych braci, staje wreszcie u szczytu sławy i powodzenia dzięki wyjazdowi zagranicę pod opieką genjalnego impresarja.

Pysznym odtwórcą roli „w czepku urodzonego" śpiewaka, w końcu trzeciego aktu żeniący się z jedyną (oprócz matki) kobietą, która wierzyła weń od początku — jest p. Kurnakowicz. Każde jego słówko, każdy giest, wywołuje wybuchy śmiechu na widowni. Wyborny typ międzynarodowego impresarja dał p. Orwid. Dobre były: p. Lenerówna w roli nauczycielki muzyki i p. Broniszówna, jako primadonna opery stołecznej. Na podkreślenie zasługuje również z werwą i charakterystycznem zacięciem odegrany epizod p. Szreniawy. Autorowi publiczność zgotowała serdeczne przyjęcie. *j. p.*



Scena z aktu pierwszego najnowszej komedji W. Rapackiego (Syna) p. t. „W czepku urodzony". Od str. lewej pp. Wyrzykowski, Łaska, Kurnakowicz, Lenerówna i Solarski. (Fot. Jan Malarski)

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

(19)

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, zlepawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmiałej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczora i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć. Hali udaje się wydostać z tarapatów. Ucieka pieszo do Czerniczek, gdzie po tych przejściach choruje. Zwierza się Zośce, która ją ostrzega przed Reńskim. Otrzymuje telegram wzywający ją do Warszawy. Na dworcu dowiaduje się, że Zaliwski został aresztowany i że musi go ratować. Natychmiast udaje się do urzędu śledczego, gdzie spotyka się z Zaliwskim.

— Więc — kaucja — ale to drobiazg — weźmiesz gdziekolwiek. Są jednak sprawy ważniejsze: — wycofać 500 dolarówek z prywatnego lombardu Reichmana i dać za to weksel, podpisany in blanco przez Reńskiego. Drugi taki weksel musisz też wziąć od Reńskiego i dać go Tochterowi — on już będzie wiedział, co zrobić — powiesz mu tylko, że to na prowincję. Uważaj — powiesz tylko — „na prowincję" a on już będzie wiedział. U Reicha są też różne rzeczy — niech sprzeda, weźmie procenty, resztę odda moim klijentom, którzy się do niego mają zgłosić. Rozumiesz? Dolarówki niech Reich sam odeszle. Słuchaj dalej: trzeba żebyś odwiedziła dwuch panów i uspokoiła ich jakoś — że ich walory nie przepadną. Mów co chcesz — aby tylko oni nie wyjeżdżali ze swemi pretensjami, dostaną wszystko, jak wyjdę. Powiedz im, że mam te walory ukryte osobno, ale nie mogę stąd niemi dysponować. Tu masz na tej karteczce — nadstaw i otwórz torebkę, to ci nieznacznie wrzucę — wszystko jest wypisane. I jeszcze jedno — niech Tochter się schowa — bo go zaczną szukać — ktoś go wsypał. No, już wszystko — więc pamiętaj: kaucja, dwa weksle in blanco, lombard Reicha, „prowincja", walory prywatne i biżuterja. No idź — — bo tu o minuty chodzi — lada chwila może się wszystko wydać — a wtedy wpadnę grubiej — ale jeszcze trzeba, żeby Tochter jakoś załatwił trachty.

— Ale — ale — przecież ja — jąkała Hala, pełna strachu wobec swoich nowych funkcji, które nie wydawały się jej ani łatwe, ani miłe, ani odpowiednie.

— Jakie „ale"? — Jeżeli jesteś dzielną harcerką i jeżeli choć trochę chcesz pomóc mnie — ja cię kocham — i — przysięgam ci, Halu, — jestem zupełnie czysty.

— Zupełnie?

— Najzupełniej... daję ci... słowo... honoru... — jak kocham ciebie — zamknij torebkę i nie zgub kartki.

— Jakiś ty mizerny!

— Bo zmartwiłem się tem, że nikt mi nie chce pomóc — ale — czekaj — w mojem mieszkaniu może być rewizja — niech Tochter wszystko przejrzy, czy nie ma czego w biurku — ale ty bądź przy tem — klucz jest u sąsiada.

Hala schodziła mocno przeświadczona o niewinności Zaliwskiego, który jest taki biedny i tak zmizerniał. Oto do czego prowadzi złe towarzystwo — tacy Tochterzy i im podobni. Uwikłali porządnego chłopca.

— Będzie miał nauczkę. Tymczasem nie należy się wahać — i trzeba zacząć działać.

Pojechała z Tochterem do mieszkania Zaliwskiego. Tochter, dowiedziawszy się po drodze, że go może już szukają, z początku omal nie wyskoczył z dorożki, a potem cały spotniał przy myśli, że czekał całe pół godziny tuż pod drzwiami urzędu.

— Uj — proszę pani — aż mnie strasznie, że ja się tam nic a nic nie bałem.

Pełen tego spóźnionego strachu, przejrzał papiery Zaliwskiego i to i owo uprzątnął. Hala kazała wnieść walizkę na górę i usiadłszy, przypomniała sobie scenę między kuzynkiem Stasiem a Zaliwskim. Tak odpoczywając rozmawiała z sąsiadem Zaliwskiego, łysym człowieczkiem, który miał u siebie klucz od mieszkania i teraz właśnie utyskiwał nad przykrościami, na jakie został narażony jego młody przyjaciel.

— Pani zostawi tu swoją walizkę?

— Tak, mam sporo spraw na mieście — wpadnę tu wieczorem i zabiorę ją.

Hala postanowiła nie pokazać się na razie w domu, pozałatwiać wszystkie sprawy Zaliwskiego a potem dopiero pojechać do domu — niby prosto z dworca, z pociągu wieczornego.

Pierwsza wizyta — według adresu na kartce — powiodła się doskonale. Tęgi brunet, z zawodu handlowiec, przeprowadził Halę przez swój „interes", pełny przedświątecznego ruchu i za przegródką, przy kantorku, roztoczył przed Halą cały swój światopogląd kupiecki:

— Pani w sprawie moich walorów, które powierzyłem panu Zaliwskiemu? Rozumiem! Walorów już niema — wiem o tem — poszły na handal! Ale nie będę robił z tego żadnego użytku. To jasne — młodemu człowiekowi powinęła się noga— to się zdarza. Ratował się jak mógł — rozumiem!

— Ale nie, proszę pana, ma je dobrze schowane — te pańskie papiery i jak tylko wyjdzie...

— Skoro pani tak mówi — to widocznie tak jest. Zaliwskiemu bym nie wierzył — pani jestem obowiązany... kłamstwo nie przeszłoby tak ślicznemi ustami. Więc proszę pani — ja poczekam — tydzień, miesiąc, rok... Trzeba młodemu pomóc — prawda? A może kieliszeczek starego?

Hala podziękowała.

— Więc, proszę pani — jestem cały do usług. Zarobiłem nieco przy panu Zaliwskim — niechże raz stracę — trudno. Zresztą nie stracę — mam przecież kwity. Że się tak delikatnie wyrażę, trzymam pani narzeczonego — bo to pewnie narzeczony — he — he — he — prawda? — trzymam go w ręku i mogę czekać.

Hala wyszła z uczuciem niesmaku i pojechała na drugi koniec miasta. Dzwoniła długo, aż obudzony z drzemki gospodarz zjawił się w pantoflach i szlafroku. Usłyszawszy o co chodzi, zaczął od wymyślania, które Hala wysłuchała cierpliwie, łagodząc gniew pana, o którym lista lokatorów głosiła, że żyje „z własnych kapitałów". Powoli kapitalista dał się udobruchać i przekonać, przeszedł na utyskiwania, a w końcu dał się uprosić i obiecał czekać miesiąc na zwrot depozytów. Przy okazji zanotował nazwisko i adres Hali — i również zainteresował się, w jakim charakterze Hala broni spraw Zaliwskiego.

— Bo to na adwokatkę pani nie wygląda—choć byłaby z pani dobra adwokatka — tylko nie wiem, czy dla wszystkich dobra — ale — z przeproszeniem — demoralizacja teraz na świecie.

Pytał pozatem, czy Hala jest z tych Liwskich, co to...

Ale Hala powiedziała, że nie zna zupełnie swojej rodziny i pośpiesznie wyszła.

Finansista Reichman, wspaniale reprezentujący swe kształty zasobne przy wielkim mahoniowem biurku, był najmłodszy — i najtwardszy zarazem.

— Mam te 500 premjówek — to jakbym miał swoje. A z przeproszeniem, co ja będę miał, jak ja te papiery odeszlę z powrotem?

— Przyniosę panu weksel, podpisany *in blanco* — czy to tak się mówi?

— Owszem tak, yn blanko! rozumiem... a kto podpisze yn blanko?

— Pan dyrektor Reński podpisze.

Reichman uśmiechnął się i spojrzał po wielkich obrazach, których ramy złociły wszystkie ściany gabinetu.

— Z przeproszeniem pani, czy pani już mówiła z panem Reńskim?

— Jeszcze nie, bo...

— Proszę pani, szkoda gadać. Pan Reński nie podpisze.

— Podpisze! zrobi to dla mnie!

Reichman znów uśmiechnął się i spojrzał tym razem na swoje perskie dywany.

— Dla pani — to on może zrobi — dla Zaliwskiego — *nie!*

Hala stanęła w ponsach.

— Dla pani — to każdyby zrobił — może i ja — kto to wie?

Zaległo milczenie.

— Więc ja pana proszę — niech pan to zrobi dla mnie — Hala z trudem panowała nad sobą— i niech pan poczeka dwa dni — aż przyniosę weksel.

— Co znaczy dwa dni?

— Bo pan Reński wyjechał i wraca jutro albo pojutrze.

Było to niespodziewane utrudnienie dla Hali.

Reichman wstał, założył ręce po napoleońsku na piersiach i władczo stąpał po swoich dywanach, namyślając się.

— Czego ten Zaliwski boi się, że ja puszczę w ruch te papiery?

— Niewiem. Powiedział, że to niemożliwe.

— Powiedział, że niemożliwe? — To może to są jakie cudze papiery? Uj — to niebezpiecznie z panem Zaliwskim mieć interesy. Ja, jak tylko jego zobaczyłem, to zaraz powiedziałem: uważajcie, to taki polak, co pójdzie bardzo wysoko, jeśli go nie zamkną... Aj — aj — aj — cóż to za ryzykant — jak on z temi frachtami się wykręcił wtedy! Cała Warszawa o tem gadała. A proposs — czy to pani przychodziła do niego do „Polonji"?

— Jeden raz — proszę pana.

W końcu Reichman zgodził się pod presją nalegań Hali. Hala dała mu swoje słowo, że weksel Reńskiego dostarczy, a jeśli Reński by nie chciał podpisać, to Hala da inny, pewny podpis — w porozumieniu z Reichmanem. Oprócz tego Hala zdjęła swe pierścionki i kolczyki i położyła przed Reichmanem — dodatkowo — dla pewności.

— Owszem, czemu nie? Ja to schowam — u mnie pewniejsze, jak u pani. Ma pani u mnie kredyt na trzy miesiące za te kolczyki — i policzę pani procent po znajomości — jakby pani potrzebowała. Ale u mnie grunt — to słowo pani.

— Ma pan rację — moje słowo jest pewne.

— Ja to widzę! Ja to czuję! Jabym najchętniej samą panią wziął w zastaw!

Hala z musu zrobiła dobrą minę do tych nieco bolesnych żartów lichwiarza.

— O, proszę pana, to zadużo kłopotu miałby pan z takim zastawem.

— Ja już bym się godził na te kłopoty.

Odprowadził ją do drzwi, patrząc z uznaniem, pomagając przy ubieraniu z lubością:—ja myślałem proszę pani, że tylko nasze kobiety są do interesu — a pani — przepraszam — może też trochę nie polka?

Było to ostatnie upokorzenie panny Liwskiej, po której zobaczyła się z Tochterem, zabrała walizkę i chciała pojechać do domu w poczuciu spełnionego obowiązku. Na powrót Reńskiego trzeba było zaczekać do jutra i sprawy czemprędzej zakończyć. Hala wpadła w hazard ratowania Zaliwskiego.

— Oto, jakie jest życie! Trudno — trzeba umieć sobie radzić! Nie jestem z cukru — nie roztopię się!

Był już wieczór i trzeba się było decydować. Ale dopiero teraz przyszło znużenie, obezwładniające członki. Siedząc w wielkim skórzanym fotelu w pokoju Zaliwskiego, Hala uczuła, że chyba nie będzie się mogła ruszyć z miejsca. Było cicho i miło w tym kawalerskim pokoju. Ze ściany, nad tachty, patrzyła na Halę jej własna fotografja, którą Zaliwski zabrał sobie kiedyś bez pytania. Ten dowód miłości rozczulił Halę.

— Ja tak źle o nim myślę — a jednak ten Artur może kocha naprawdę — Boże — jakiż on był dzisiaj mizerny — szkoda go — gdybym była w Warszawie, to bym swoim wpływem napewno nie dopuściła do tego wszystkiego.

Hala nie wiedziała, czemby się wyraził jej wpływ, ale była pewna, że przy niej Zaliwski byłby ostrożniejszy w interesach.

— Sam papcio mówił przecie, że to genjalny chłopiec.

No a teraz — stanowczo nie chciało się jechać do domu. Trzebaby jutro tłomaczyć się — bo to zaraz: dokąd idziesz — dlaczego — po co — zresztą jest zapóźno. A dlaczegoby nie zostać tu, w tym przytulnym, dobrze zamkniętym pokoiku. Nie trzeba tylko widzieć w tym nic złego...

Odpocząwszy nieco, Hala zatelefonowała do mieszkania Reńskiego i jeszcze raz powiedziano jej, że pan powróci jutro.

— Rano?

— Być może, że już rano.

— Proszę mu powiedzieć, że dzwoniła w ważnej sprawie Liwska.

— Kto to może mówić? Służąca? głos jakby znajomy — musi być ładna ta służąca — myślała Hala, układając się na tachcie pod ciepłym, puszystym pledem.

Zgasiła lampę.

Obco szumiała i brzęczała ruchem ulica. Zmęczenie Hali powoli ustępowało. Myśląc wciąż o przygodach dnia, Hala nagle zaniepokoiła się — i aż usiadła na tachcie. To wszystko co się działo — i ten nocleg gdzieś na kawalerce, i rozmowy z handlarzami i Tochter (zabawny żydek!) i pobyt w urzędzie śledczym — to wszystko było przecież zupełnie dziwaczne, nieodpowiednie dla Hali Liwskiej, może uchybiające jej.

— Jezus Marja — gdzie ja zabrnęłam.

Ale powoli jasna, uczciwa myśl wzięła górę. Nie pozory są ważne, lecz treść; nie okoliczności—jeno intencje. A przecież intencje te były całkowicie altruistyczne, szlachetne, kompletnie pozbawione egoizmu. Wszystko co się stało — to wszystko miało na celu ratowanie człowieka młodego, a więc jeszcze potrzebnego społeczeństwu.

— Wyrwę go z tych interesów i skieruję na inne drogi — myślała ambitnie Hala — i jutro pomówię z Reńskim — który go musi ratować — bo przecież byli cichemi wspólnikami.

Rankiem Hala zadzwoniła znów. Powiedziano jej, że Reński przyjechał. A wtedy Hala poczuła tak silne wzruszenie, jakby to nie w sprawie Zaliwskiego, tylko w swojej miała rozmawiać z Reńskim.

XIII.

Reński zdziwił się nieco, ale nie stawił żadnych trudności. Wytłomaczył Hali, że w istocie nie poczuwa się bynajmniej do obowiązku ratowania Zaliwskiego, ale skoro Hala o to prosi — to, oczywiście, nietylko nie odmówi, ale z radością załatwi ten drobiazg. Ciepłym, dobrym głosem wymawiał Hali jej wędrówki do podejrzanych osobników, tłomacząc, że wszystko — nawet pomoc bliźniemu — winna mieć swoje granice. W dużej cukierni było jeszcze pusto, miło i czysto.

— Ale zaraz — to i w urzędzie śledczym moja Halineczka też była?

Hala spojrzała na Reńskiego i zarumieniła się. Jemu skłamać by nie mogła.

— Tak, panie Alu.

Niewiadomo, jak się to stało, że wszystkie zarzuty papcia i przestrogi Zośki i własne Haline zastanowienia i decyzje — odrazu znikły, przepadły, rozwiały się bez śladu. Wystarczyło, żeby pan Ala powiedział „moja Halineczko" — i żeby wziął rączkę i pocałował i przytrzymał w swych pięknie utrzymanych palcach: — przepraszam Halineczkę, ale ja się za to wszystko gniewam — Halineczce nie wolno pospolitować się — Halineczka jest mi zanadto droga.

To nie zabiło serce i to nie usta czy ramiona zatęskniły — tylko poprostu ogarnia Halę czarujący sen. — Coś zemną się dzieje nadzwyczajnego — myśli Hala prozaicznie — a jednocześnie jej rączka nie wymyka się z rąk Reńskiego — i oczy — podłe oczy — nad któremi Hala już nie panuje — mówią Reńskiemu o wszystkiem — wszystkiem.

— Jakże to on mówił? Oczy *wierne?* Ależ tak — ja czuję, że patrzę na niego *wiernemi* oczami.

— Pójdziemy Halineczko.

Hala wstaje i z przerażeniem czuje, że pójdzie za nim wszędzie gdzie on każe i zechce — i że byłoby to w dodatku olbrzymie szczęście — czynić tak, jak chciałby Reński. I Hala opiera się o ramię pana Ali z nieśmiałością — nie dlatego, żeby się obawiała Reńskiego, ale dlatego, że w uczuciach jej jest takie specjalne, niemal pokorne nabożeństwo. Hala przypomina sobie w tej chwili, jak stary pan Woyno, gadający oryginalnym stylem, kiedyś dowodził papciowi: — Pilnujcie wy Hali, bo ten Zaliwski już ją „naelektryzował". — Wszyscy w domu śmieli się z tej nomenklatury — ale teraz Hala naprawdę jest „naelektryzowana". A ciotka dosadnie mawiała że „od młodości głupieje nawet ciele". Teraz Hala czuje, że naprawdę zgłupiała, że raptem z dużej śmiałej panny stała się malutką, nieśmiałą, maleńką.

— Moja maleńka podaruje mi dzień dzisiejszy — mówi właśnie pan Ala — tak się stęskniłem.

Stęsknił się — o nieba najpiękniejsze!

Wszystko tak cudownie się układa — bo wszystko przewidział pan Ala. Swego sekretarza posłał do Rejchmana, a swego szofera do Tochtera, a swego lokaja z kaucją — do urzędu — i Hala już nie ma żadnych kłopotów. Pan Ala ma cudowne pomysły: zatelefonował do papcia do biura, że niby wraca z majątku Zośki i proszony jest powiedzieć, że panna Liwska wraca jutro wieczorem...

— Dlaczego — dlaczego jutro?

Pan Ala ma cudowne równiutkie zęby w uśmiechu, który starczy za każdą odpowiedź — i srebrne iskierki wesołości w czarnych, smutnych oczach, w które trzeba patrzeć bezustanku — bo — niepodobna inaczej.

Godziny mijają niepostrzeżenie w zawrocie spełniających się marzeń.

— Więc moja Halineczka raczy posuwać się do takich śmiałości, że nocuje w kawalerskim pokoju? Ładnie, ładnie! Więc właśnie — za karę — przenocuje tam Halineczka drugą noc.

— Byłam zmęczona, panie Alu, i taka senna— ale wiem, że nie powinnam była — naprawdę.

Pan Ala jest nadzwyczajnie dobry i przebacza, — pod warunkiem, że Hala wypije żółte, musujące wino. Bo są już na obiedzie w Konstancinie — i Hala spostrzega to niemal ze zdumieniem. Musi już być zielono na polach, musi też być bardzo ładnie w parku wilanowskim, który przecież mijali — ale Hala nie zdążyła tego zauważyć. Dziwi się teraz, przechyla nowym sposobem główkę, sączy po kropelce wino i jest czerwoniutka — i zaśmiewa się tak, że ząbki jej uderzają o kieliszek, zanim zdąży go odjąć od ust.

Bo Reński jest dziś strasznie, wyjątkowo wesół i strasznie, wyjątkowo dowcipny. W pewnych chwilach, nieco przytomniejszych, Hala probuje myśleć — ale te myśli są takie nieprzytomne. Naprzykład: — Niema, niema na świecie nikogo takiego, jak on. — Albo też: czy tylko ja mogę się mu podobać?

Ależ tak: Hala czuje, że podoba się Reńskiemu ogromnie — co za szczęście...

— To Reński... ale kto jest z nim — co to za śliczna panna? — mówią przy sąsiednim stoliku panie do panów, którzy nachylają się z odpowiedzią. Hala słyszy to i coraz śmielsza jest jej zakochana wesołość. Coprawda radość omal nie zgasła, gdyż wydało się Hali, że mignęła jej z dali sylwetka Aksowicza — ale na to znalazła się zaraz doskonała rada — odwrócić główkę i nie patrzeć w tamtą stronę — cudowny wynalazek — już powodu do niepokoju niema.

Hala jest tak śmiała, że przyznaje się panu Ali, że zwątpiła w niego i że nawet... ach prawda o podarciu fotografji nie należy nic mówić... i o „panu Pozwolęsobie" w Niechcicach — także nie...

— Co nawet — mówi głośno i nachyla się pan Ala i zaraz szepcze — kochana, jedyna, droga Halineczka.

— Że nawet... nie chciałam myśleć o panu.

— Ale Halineczka jednak myślała, co?

(d. c. n.)

Co słychać na świecie?

ANGLJA. Cały świat polityczny żyje obecnie pod znakiem wyborów angielskich. Zwyciężyła Labour Party, czyli partja pracy. Partja ta nie osiągnęła wprawdzie bezwzględnej większości głosów w stosunku do innych partyj, tem niemniej jednak należy się liczyć z zupełnym zwrotem dotychczasowej polityki angielskiej. Tak więc stosunki z Sowietami przybiorą znowu formy przyjaźniejsze, aniżeli dotychczas, wobec czego należy wyczekiwać ochłodzenia się stosunków anglo-amerykańskich, gdyż w Rosji właśnie nastąpi zetknięcie się sfery wpływów obu tych państw. Zwrot, który obecnie nastąpi w Anglji, będzie bezwzględnie germanofilski, a zatem znowu w konsekwencji jeśli nie anty. to w każdym razie nie filofrancuski. Specjalnie Polska musi odtąd bacznie śledzić nową polityką angielską. Caveant consules. Jeśli chodzi o naukę, jaką można wyciągnąć z samego przebiegu wyborów, to musimy sobie zanotować, że zwycięża partja, która potrafi zmusić największą ilość wyborców do oddania głosu. Agitacja w tym celu przeprowadzona przez Anglików przeszła najśmielsze wyobrażenia.

AMERYKA. Ameryka żyje obecnie pod znakiem ekspansji na wschód. Ponieważ o Chinach na razie niema mowy, gdyż Amerykanin zbyt jest ostrożny, by lokować kapitały w kraju przechodzącym obecnie tak poważne wstrząsy wewnętrzne, zwrócono więc oczy na Rosję. Kraj businessu kokietuje od dłuższego czasu poważnie kraj komuny i rewolucji. Flirt rozpoczął się budową wielkiej fabryki automobilowej w Niżnym Nowogrodzie przez... Forda. Fabryka ta ma produkować rocznie 100 tysięcy samochodów. Równocześnie z układu, zawartego przez Forda z Sowietami, wynika, iż Rosja zobowiązała się w ciągu czterech lat nabyć od Forda za 30 miljonów dolarów automobilów.

NIEMCY. Ohydny „Justizmord" popełniony przed czterema laty przez sądy niemieckie na nieszczęśliwym i nie umiejącym się bronić robotniku polskim Jakubowskim, znalazł obecnie swój epilog przed sądem w Neustrelitz. Jakubowskiego zrehabilitowano całkowicie, przyczem w toku procesu wyszły na jaw szczegóły, które kompromitują całe sądownictwo niemieckie, oraz wyjaskrawiają bezdeń zgnilizny moralu niemieckiego chłopa. Nie można pominąć milczeniem furjackiej wprost agitacji Niemiec przeciwko wystawie w Poznaniu. Ostrzegają Niemcy wszystkich podróżnych, przejeżdżających przez ich terytorja, przed fatalnymi warunkami, panującymi rzekomo w Polsce. Równocześnie zaś, przypominając niedawne wypadki w Opolu, odradzają swoim ziomkom zwiedzanie wystawy, motywując to „spodziewanemi" reakcjami „nacjonalistów" polskich w stosunku do gości niemieckich. Zapominają o tem, że Polak zbyt jest kulturalny, by w sposób podobnie barbarzyński miał mścić się za bezprawia niemieckie.

RUMUNJA. W związku z ostatnim pobytem ministra Zaleskiego w Budapeszcie, wyczuwa się radość Rumunów z powodu spodziewanej medjacji polskiej w sprawie węgierskiej. Przypuszcza się powszechnie, iż wielowiekowe węzły przyjaźni, które zawsze łączyły Polskę z Węgrami, pozwolą wreszcie na przyjazne załatwienie tarć, jakie wynikają z uroszczeń Węgier do Siedmiogrodu, zamieszkałego obecnie przez blisko 1,300.000 Węgrów. Obecnie toczą się w Rumunji rokowania, które mają na celu określenie realnych ram symbiozy polityczno gospodarczej polsko-rumuńskiej. Bardzo przychylny nastrój Rumunów zezwoli z wszelką pewnością na definitywne ustalenie podwalin przyszłego współżycia naszego z tym krajem.

LITWA. Prasa rozpowszechnia wiadomości, jakoby rząd polski maczał ręce w niedawnym zamachu na Waldemarasa. Celem współdziałania rządu polskiego miało być rzekome zwalenie obecnego rządu i dopuszczenie do steru ludzi z opozycji, jako czynników popierających polskie interesy na Litwie. Pozostawiamy podobne bzdury bez komentarzy.

POLSKA. Mimo agitacji niemieckiej wystawa cieszy się niebywałą frekwencją. Żałować jedynie należy, iż odpowiednie czynniki nie zorganizują propagandy, któraby anulowała wrogie agitacje niemieckie. Do 9-go czerwca przeciągnie się tak zw. „Tydzień Czerwonego Krzyża". Pamiętać należy, iż jest to jedyna z najzasłużeńszych instytucyj w Polsce. Nie można zamilczeć o pladze pożarów, jaka nawiedziła Polskę w ciągu kilku tygodni. Ofiarą tej klęski, spowodowanej częściowo nieostrożnością, częściowo niezbadanemi jeszcze przyczynami, padło dotychczas na terenie Polski około 500 budynków i ponad sto morgów lasu.

Ja...el.

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY

9 N Felicjana
10 P Małgorzaty
11 W Barnaby
12 Ś Jana
13 C Antoniego
14 P Bazylego
15 S Wita i Modesta

MENU TYGODNIOWE

Niedziela

Rosół z kury, paszteciki z ryżem i jajami w kruchem cieście.

Jesiotr po polsku.

Potrawka z kury, sos koperkowy i szparagi drobno krajane. Lody kawowe.

Poniedziałek

Zupa szczawiowa. Omlet aux fines herbes. Kotlety wieprzowe, purée kartoflane, sałata z oliwą. Kisielek z rumbarbarem.

Wtorek

Grochówka z boczkiem.

Potrawka z raków z drobną kaszką.

Wafle z konfiturami.

Środa

Chłodnik (z wczorajszej potrawki, przechować trochę szyjek). Pieczeń cielęca, kartofle, sałata ze śmietaną. Budyń z sera, sos szodonowy.

Czwartek

Zupa z móżdżku, grzanki z szynką i serem. Nóżki cielęce smażone w cieście, szpinak, szarlotka z rumbarbaru w kruchem cieście.

Piątek

Rosół z węgorza z kaszą perłową.

Potrawka z węgorza z sosem rumianym, kaparowym. Szparagi z rumianem masłem. Mus cytrynowy.

Sobota

Rosół z cielęciny, naleśniki z mięsem z rosołu. Węgorz usmażony, sos ostry musztardowy zimny lub gorący. Galaretka malinowa Luba.

WĘGORZ.

Ponieważ węgorza trzeba kupić całego, bo aby był smaczny, powinien być żywy, w mniejszej rodzinie nie można go zjeść odrazu. Należy więc z niego ugotować rosół, który jest wyborny, dać połowę w potrawce, drugą połowę przechować i dnia następnego dzwonka utarzać w mące, potem w rozbitem jajku a nakoniec w bułeczce i usmażyć w bardzo obfitym tłuszczu (smalcu, lub maśle z oliwą). Podać z cytryną krajaną w podłużne ćwiartki lub z jakim sosem. Najodpowiedniejsze są sosy zimne: tatarski lub musztardowy. Z gorących ostry sos cebulowy z musztardą, zwany sos „Robert". Skóry z węgorza zdejmować nie należy, jest to stary przesąd. Należy ją tylko oskrobać i obetrzeć piaskiem, aby nie była śliska, kto jej jeść nie chce, może ją zsunąć widelcem na talerzu, jak się robi z innemi rybami.

ZRAZY NELSONSKIE

Osiemdziesiąt deka miękkiej krzyżowej lub zrazowej pokrajać na sześć równych plastrów, zbić mocno. Dziesięć deka świeżych pieczarek oczyścić i pokrajać w płatki, w braku pieczarek przygotować trzy deka młodych, suszonych grzybków, wymoczyć je w pół szklanki wody aż zmiękną i pokrajać w paski. Dwie duże cebule pokrajać w płatki. Na dno ładnego, metalowego rondla położyć kawałek masła, na to parę zrazów, grzybki, cebulę, osolić, popieprzyć, znów kłaść zrazy, grzyby, cebulę, przyprawy. Zalać wszystko dwoma szklankami niezbyt gęstej śmietany, dolać wodę od grzybków, zakryć pokrywą i dusić na wolnym ogniu około czterdziestu minut. Podawać w tem samem naczyniu. Oddzielnie kaszę hreczaną lub orkiszową na sypko ugotowaną za słoniną. Chcąc te zrazy podać z kartoflami, należy 60 deka kartofli pokrajać w cienkie płatki ułożyć rzędami pomiędzy mięsem i udusić razem.

TEATR

TEATR LETNI

„W czepku urodzony" komedja w 3-ch aktach W. Rapackiego.

TEATR POLSKI

„Ładna historja", komedja w 3-ch aktach de Flersa i Caillaveta.

TEATR MAŁY

„Rozum i Głupstwo". Komedja w 3-ch aktach W. Perzyńskiego.

TEATR MORSKIE OKO

„Warszawa w kwiatach", Rewja w 20 obrazach.

CZERWONY AS

„Bez figowego listka", czyli „Można i tak" — rewja.

KINO

Apollo. (Marszałkowska 106): „Dziewczyna ze spelunki" z Mary Astor i „Tajemniczy Cowboy" z Buck Jonesem.

Casino. (Nowy Świat 50)) „Lulu" z Luizą Brooks.

Capitol. (Marszałkowska 125): „Szajka zgrozy" z Eddie Polo.

Colosseum. (N. Świat 19): „Z raju bolszewickiego" z Czechową.

Filharmonja (ul. Jasna): „Prawo miłości" z Madge Bellamy i „Zdradziecka kula" w roli gł. Buck Jones.

Pan. (Nowy Świat 40) „W obliczu śmierci" z Patem i Patachonem.

Palace. (Chmielna 9) „Szczęście u kobiet".

Quo Vadis? (Wierzbowa 7) „Dziewczę z północy" z Renee Adoree i Conradem Naglem.

CZEGO SŁUCHAĆ PRZEZ RADJO?

W DZIALE MUZYCZNYM:

Niedziela, dn. 9.VI. godz. 17.00. Koncert orkiestry dętej pod dyr. A. Sielskiego.

Godz. 20.30. Transmisja koncertu popularnego z Doliny Szwajcarskiej. Jako solista w koncercie tym wystąpi Kazimierz Czekotowski — baryton.

Poniedziałek, dn. 10.VI. godz. 20.30. Transmisja międzynarodowego koncertu z Berlina. Wykonawcy: orkiestra radjostacji berlińskiej, Frieda Leider — śpiew, i Emanuel Feuermann.

Wtorek, dn. 11.VI. godz. 19.30. Transmisja opery z Poznania „Pomsta Jontkowa" — opera w 4-ch aktach B. Wallek-Walewskiego.

Środa, dn. 12.VI. godz. 20.15. Koncert solistów z Radjostacji Warszawskiej. Wykonawcy: Angelica del Arco — sopran, Irena Dubiska — skrzypce, Bolesław Wojtowicz — fortepian i prof. Ludwik Urstein — akompanjament.

Czwartek, dn. 13.VI. godz. 20.30. Transmisja koncertu symfonicznego z Doliny Szwajcarskiej. W programie utwory Szuberta i Schumana. Jako solista wystąpi prof. Jan Dworakowski.

Piątek, dn. 14.VI. godz. 17.55. Koncert muzyki lekkiej w wykonaniu orkiestry radjowej.

Sobota, dn. 15.VI. godz. 20.30. Transmisja koncertu muzyki lekkiej z Doliny Szwajcarskiej, w wykonaniu orkiestry Filharmonji Warszawskiej pod dyr. Z. Ozimińskiego.

W DZIALE LITERACKIM:

Niedziela, dn. 9.VI. godz. 20.00. Transmisja pogodnego słuchowiska z Wilna: „Majówka Filomatów" pióra Wandy Niedziałkowskiej-Dobaczewskiej.

Godz. 21.00. Tadeusz Bocheński odczyta utwór Zygmunta Kisielewskiego.

Wtorek, dn. 11.VI. godz. 18.35. Recytacje poetyckie w wykonaniu artysty teatru Polskiego St. Stanisławskiego.

Środa, dn. 12.VI. godz. 21.35. Literacki występ autorski z Katowic.

Czwartek, dn. 13.VI. godz. 21.15. Transmisja słuchowiska z Poznania.

RUCH NA P. K. W.

Kongresy, zjazdy, wycieczki, zawody sportowe i pokazy

9 czerwca: Wycieczka kursów rolniczych im. Staszica, od 9 — 16 czerwca. (Tereny wystawy rolniczej, osób około 100). Zjazd pracowników kolejowych od 9—12 czerwca. (Osób około 600). Motocyklowe mistrzostwa wojewódzkie. Wyścigi konne na Ławicy.

10 czerwca: Zjazd aptekarzy polskich od 10 — 12 czerwca. (Aula Uniwersytecka, osób około 800). Wycieczka przemysłowców i kupców francuskich pod przewodnictwem p. ambasadora Noulensa, od 10 — 12 czerwca. Klubowa gra w polo na Hippodromie.

11 czerwca. Wycieczka grecka z Aten, organizowana przez prezesa Izby Polsko - Greckiej p.Ślizińskiego — od 11 do 16 czerwca. Wyścigi konne na Ławicy.

12 czerwca: Zawody w polo.

13 czerwca: Zjazd straży pożarnej od 13—16 czerwca oraz zawody strażackie na arenie widowiskowej P. W. K. (10.000 osób). Wyścigi konne na Ławicy.

14 czerwca: Konkurs orkiestr strażackich na arenie widowiskowej P. W. K. Klubowa gra w polo na Hippodromie.

ODPOWIEDZI OD REDAKCJI

J. Bogożewski. Skarżysko. Zrzeszenie Lekarzy Rzplitej Polskiej mieści się w Warszawie przy ulicy Śliskiej 28.



„Tempora et homo mutantur" orzekł Dr. William Gregory, z wszechnicy nowojorskiej, który konkurując z Darvinem dowodzi, że człowiek pochodzi od ryby. Na fotografji widzimy dr. Williama z modelami gipsowemi objaśniającemi jego teorje. (Wide World)

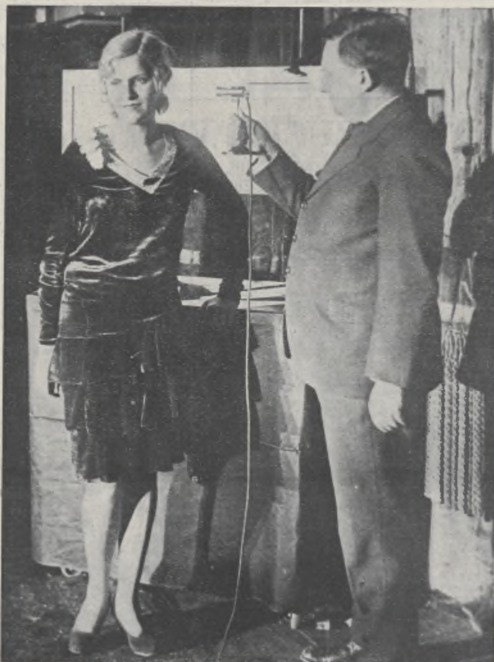


Niedługo pomnożą rzesze bezrobotnych maszyniści kolejowi i palacze, którzy się staną zbędni do obsługi parowozu. Wypowiedziało im wojnę radjo, przy pomocy którego piękna pani posługując się zwykłym mikrofonem jest w stanie poruszać i zatrzymywać pociąg. (Wide World)

Paradoksy wiedzy

Te same siły przyrody, przetopione na energję pędną obracają olbrzymie maszyny, dostarczające ludzkości najniezbędniejszych przetworów — i poruszają laleczki ku zabawie małych dzieci. Zdarza się też, że wielki i doniosły wynalazek, stanowiący epokę w danej gałęzi techniki, pozwala na tworzenie — jakby w swym cieniu — śmiesznych i miłych drobiazgów, opartych na tej samej zasadzie. Bywa i odwrotnie — z dowcipnej zabawki mechanicznej genjalny wynalazca stworzy wielką machinę, której przeznaczeniem będzie polepszenie warunków bytu miljonów. W ten sposób staje się zadość starożytnej zasadzie łączenia przyjemnego z pożytecznem.

Ciekawość prowadzi nietylko do piekła, lecz przedewszystkiem do odkryć i wynalazków. Zbytek i nad miar bogactw wpływa znakomicie na rozwój sztuk pięknych. Ludzie praktyczni, normalni, wiotczeją w zastoju — a szaleńcy zdobywają nowe światy wiedzy, wykreślają drogę gwiazdom, ujarzmiają rozpętane i straszliwe siły przyrody i zmieniają oblicze mapy świata.



Wkrótce niedobrane małżeństwa staną niebylejaką rzadkością. Cud ten stworzył dr. E. S. Frene z Nowego Jorku, wynajdując aparat notujący napięcie rumieńca, wykwitającego na buzi na widok interesującej kobiety. (Fot. Wide World)

Wielki uczony francuski, Henri Poincaré, powiedział, że im więcej wiemy, tem więcej przekonywujemy się, jak mało wiemy. Ileż tajemniczych sił, nieprzeczuwalnych nawet przez wyobraźnie twórców powieści fantastycznych, trwa jeszcze w uśpieniu i czeka na swych odkrywców — ileż dzisiejszych kaprysów i zabawek przeistoczy się w machiny-iluż wyśmiewanych szaleńców zasłuży na uwielbienie potomnych...

Kto wie? może za lat kilkanaście na podstawie tej samej zasady, na której został oparty widoczny obok „rumieńcomierz", jakiś genjalny inżynier zmontuje maszynę do mierzenia skali uczuć, lub do badania najtajniejszych myśli ludzkich i zamiarów? Może też parowóz-zabawka, który widzimy w prawym górnym rogu tej strony, przeistoczy się w potężną lokomotywę, znakomicie obywającą się bez maszynisty?

...I może też nasze „7 DNI" staną się ilustrowanym tygodnikiem świetlnym, nadsyłanym swym prenumeratorom za pośrednictwem fal radjowych...

(p).

„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowosenatorska 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Cena ogłoszeń: zł. 1000 za 1 stronę, zł. 500 za ½ strony, zł. 250 za ¼ strony. W razie podwyższenia nakładu ceny proporcjonalnie wyższe: za podstawę obliczenia służy stawka złotych około 40 za jeden tysiąc nakładu. Drobne za wiersz 1 mm (3 szpaltowy) zł. 1 gr. 50.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Klisze i druk wykonano w Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Telef.: 172-06 i 117-98.